

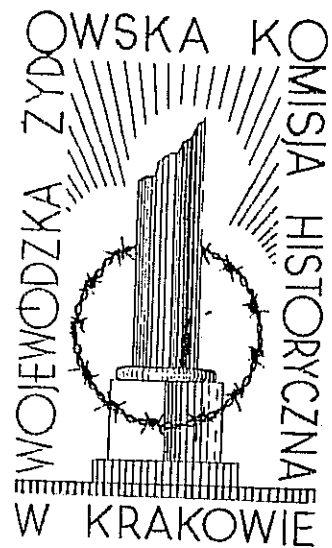
RUDOLF REDER

# BELŻEC

KRAKÓW 1946

## TREŚĆ:

Od Redakcji . . . . .	7
NELLA ROST: Wstęp	
I. Osobliwość zbrodni niemieckiej . . . . .	9
II. Szlakami śmierci . . . . .	18
III. Dokument historyczny . . . . .	27
RUDOLF REDER: Zeznanie o obozie w Bełżcu . . . . .	35



BEŁŻEC

SERII „KSIĄŻKI WOJEWÓDZKIEJ ŻYDOWSKIEJ KOMISJI  
HISTORYCZNEJ W KRAKOWIE“

ukazały się:

„DOKUMENTY ZBRODNI I MĘCZENSTWA”. Antologia autentycznych zeznań świadków. Książka obejmuje działy:  
1) W obozach. 2) Po miastach i miasteczkach. 3) Dzieci opowiadają. Str. 222 + XVI.

GUSTA DRAENGER: „Pamiętnik Justyny” (pisany w więzieniu przez współorganizatorkę Żydowskiej Organizacji Bojowej w Krakowie). Wstęp Józefa Wulfa. W tekście fotografia autorki i facsimile rękopisu. Str. 120.

MICHAŁ M. BORWICZ: „Uniwersytet Zbirów”. (Rzecz o obozie „Janowskim” we Lwowie). Wstęp Marii Hochberg-Mariańskiej. W tekście 11 ilustracyj — autentyczne fotografie oraz rysunki A. Fenichla, K. Ferstera i J. Baua. Str. 112.

Z kolei ukazań się m. in.:

M. GEBIRTIG: Pieśni ghetta (w jęz. żyd.).

MICHAŁ M. BORWICZ: Literatura w obozie.

RÓŻA BAUMINGER: Skarżysko Kamienna (obóz).

LAURA EICHHORN: Szebnie (obóz).

JAKUB STENDIG: Płaszów (obóz).

W przygotowaniu:

Monografia o Żydach w Krakowie pod okupacją (Praca zbiorowa).

**NAKŁADEM CENTR. ŻYDOWSKIEJ KOMISJI HISTORYCZNEJ  
W ŁODZI**

ukazały się:

**INSTRUKCJE** dla zbierania materiałów historycznych z okresu okupacji niemieckiej. (Oprac. dr Józef Kermisz). Str. 24.

**INSTRUKCJE** dla zbierania materiałów etnograficznych z okresu okupacji niemieckiej. (Oprac. N. Blumental i M. Bakalczuk). Str. 16.

**INSTRUKCJE** dla badania przeżyć dzieci żydowskich w okresie okupacji niemieckiej. (Oprac. N. Grüss i G. Silkes). Str. 16.

**Dr FILIP FRIEDMAN:** Zagłada Żydów Lwowskich. Str. 38.

W druku:

**Album** zdjęć z okresu okupacji.

**Studia i materiały** do dziejów Żydów w Polsce pod okupacją niemiecką. Tom I: Obozy (w oprac. N. Blumentala).

**SZ. SZAJEWICZ:** Wiersze ghetta (w języku żydowskim).

**L. WIELICZKER:** „Brygada Śmierci“.

KSIAŻKI WOJEWÓDZKIEJ ŻYDOWSKIEJ KOMISJI  
HISTORYCZNEJ W KRAKOWIE  
Nr 4

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

MICHAŁ M. BORWICZ  
NELLA ROST  
JÓZEF WULF

92/4186
Gedenkstätte Haus der Wissenschaften Berlin

TA

Centralna Żydowska Komisja Historyczna przy C. K. Żydów  
Polskich — Oddział w Krakowie.

Drukarnia I pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1.  
M—10812

Rudolf Reder urodzony 4. 4. 1881 we Lwowie, z zawodu mydlarz-chemik, przed wojną zamieszkały we Lwowie, gdzie przebywał aż do dnia 16 sierpnia 1942 roku, obecnie znajdujący się w Krakowie, jest jedynym żywym świadkiem kaźni w Bełżcu. Po ucieczce z Bełżca w listopadzie 1942 roku ukrywał się we Lwowie do czasu wkroczenia Armii Czerwonej tj. do lipca 1944 roku. W tym samym miesiącu był przesłuchiwany przez rosyjskiego prokuratora, przewodniczącego Nadzwyczajnej Komisji dla Badania Zbrodni Niemieckich i zdał relację z obserwowanych przez siebie faktów rosyjskiemu pisarzowi Władimirowi Bielajewowi. W styczniu 1946 złożył protokół w Komisji Głównej Badania Zbrodni Niemieckich w Krakowie przed przewodniczącym tejże Komisji sędzią drem Schuem.

W Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie zeznania świadka Redera odbierała dr Nella Rostowa i zeznanie to ogłaszamy w niniejszej publikacji.

W zeznaniu zachowano ton i sposób określeń świadka, dzięki czemu niesamowitą prawdę Bełżca ogląda czytelnik oczyma jednego z tysięcy ofiar tj. prawdę niewyrozumowaną i nieililrowaną przez intelektualizm. Cały szereg szczegółów tego zeznania znany nam jest z innych potwierdzających je źródeł. Zestawienia te znajdują czytelnicy w, poprzedzającym tekst zeznań Redera, wstępie dr Nelli Rostowej.

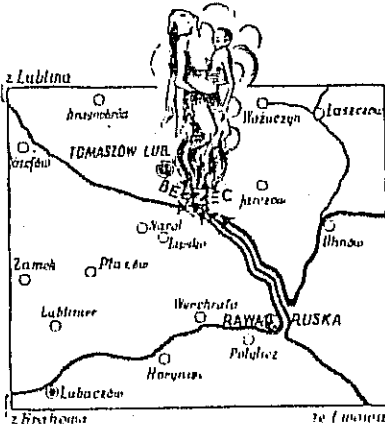
Dane o historii obozu w Bełżcu, transportach śmierci, działalności niemieckiej w związku z akcją wysiedlania i wyniszczenia Żydów opieramy na licznych zeznaniach świadków żydowskich i polskich, ukrywających się lub zamieszkujących okolicę Bełżca. W przyszłości prawdopodobnie zostaną ujawnione zarządzenia niemieckich władz centralnych, na podstawie których niemieccy oprawcy dokonali m. l. onowego mordu na Żydach.

Okładkę i iluminowane litery w tekście zeznania wykonał Abba Fenchel, znak wydawnictwa, mapkę i plan Bełżca — Józef Bau. Plan ten rekonstruowany na podstawie zeznań świadka Redera, ma dać wyobrażenie rozkładu, natomiast z natury rzeczy nie może być ścisły w sensie inżynierskim.

Kolegium Redakcyjne.

# OSOBLIWOŚĆ ZBRODNI NIEMIECKIEJ

W miejscu geograficznie dogodnym dla masowego wyniszczenia Żydów, bo niemal na środkowej linii terenu dawnej Małopolski, rozkazał Niemiec żydowskim robotnikom zbudować olbrzymie śmierciodajne narzędzie mord obliczonego na szeroką skalę. Komunikacyjna kalkulacja niemiecka rozstrzygnęła, aby właśnie w węzłowym punkcie dróg zachodu, wschodu i północy, rozegrała się tragedia Żydów za i najbardziej malowniczych c w kaźni Bełżca niezależnie od czyż swoje życie niemiecką Masy męczenników obozowych stycznych zbirów. Inni zginęli w masowych żydowskich mo



Z początkiem roku 1942 budowali Niemcy kaźń Belżca.

Brygada żydowskich robotników, która ją budowała, została w zupełności zlikwidowana, po przygotowaniu przez nią obozu. Zeznający Rudolf Reder, który do Belżca dostał się 16-go sierpnia 1942 roku, stwierdza, iż na podstawie wiadomości otrzymanych od robotników załogi śmierci pozostawionych w kwietniu 1942 roku z transportów wschodnich miast, upewnił się, że w kwietniu nie zaslano już nikogo z brygady, która omawianą kaźń budowała. W marcu, kwietniu i maju 1942 roku transporty śmierci przybywały licznie, jednak nie codziennie i nie tak często, jak to odbywało się od miesiąca czerwca, dwa lub trzy razy dziennie, bez jednego dnia przerwy. Świadek, który przebywając w miasteczku Kulikowie widział wszystkie transporty wysyłane do Belżca z miast wschodniej Małopolski, podaje:

„W kwietniu 1942 roku coraz częściej szły transporty na Belżec. Wszystkie transporty z województw północnych i południowo-wschodnich przejeżdżały przez Kulików. Wagony towarowe szczelnie zamknięte, okienko zakratowane drutem kolczastym, a każdy wagon strzeżony przez gestapowca. Pierwsze transporty szły z miejscowości położonych nad granicą rumuńską. Po kilku tygodniach transporty były coraz częstsze”<sup>1)</sup>

Wewnętrzna organizacja obozu, według zapodań świadka Redera<sup>2)</sup>, odbiegała od obrazu innych obozów zagłady, bo też kaźń Belżca nie podpada pod niemieckie pojęcie obozu zagłady, ani żadnego innego typu obozu. Była to już sama rzeźnia, mieszcząca tylko techniczne urządzenia potrzebne do masowego wymordowania Żydów. Ludzie, których tam wożono, nie mieli już żadnych szans życia i nie mogli już za żadną cenę przetrwać, pozostawała bowiem tylko załoga śmierci tzn. kopacze masowych grobów i grabarze tysiący trupów dzień w dzień, sami pozbawieni prawa do życia.

<sup>1)</sup> Dr. Grossbard: zeznanie Lb. 186.

<sup>2)</sup> To samo potwierdza Ferber Sanio, który w zeznaniu powołuje się na rozmowę z dentystą niewiadomego nazwiska, zbiegłym z Belżca w grudniu 1942 roku. Dentysta ów zginął później w obozie Janowskim.

„Kiedy dojeżdżałam do stacji Belżec, — zeznaje świadek, — trupi zapach był tak ostry, że ludzie panicznie zasuwali okna, zdaleka widziałam jakieś kopce, ogromne waly. Ludzie w Belżcu opowiadali, że są to stosy trupów. Pociąg z transportem do stacji Belżec zjeżdżał na bocznice. — Widziałam go z niedużego oddalenia.”<sup>3)</sup>

Te stosy zwłok odgrywały więc główną rolę na arenie masowego mord. Kaźń Belżca funkcjonowała w falowym nasileniu około 18-tu miesięcy. W tym czasie zdolano uśmiercić ponad dwa miliony ludzi. Najintensywniejsza zagłada miała miejsce w miesiącach od czerwca do końca 1942 roku. Mówią o tym daty wysiedleń. Wysiedlenia często były poprzedzane ogłoszeniami zapowiadającymi je. Między innymi we Wieliczce rozlepiono na murach, ścianach, drzwiach, ogrodzeniach, słupach duże kolorowe plakaty:

Ogłoszenie do przeprowadzenia zarządzonego przez Dowódcę SS i policji w dystrykcie Kraków wysiedlenia Żydów,

z Wieliczki ogłaszam co następuje:

1. Dnia 27. 8. 1942 rozpoczyna się w Wieliczce wysiedlenie Żydów<sup>4)</sup>.

W dalszej części ogłoszenia wyznacza się Polakom karę śmierci za utrudnianie akcji wysiedlenia, udzielanie pomocy Żydom, ukrywanie ich itd. Ogłoszenie podpisane przez Kreishauptmana dra Schara z daty Kraków, dnia 22. 8. 1942. Ogłoszenia rozlepiono w dniu wysiedlenia.

Kalendarz niektórych tylko masowych zsyłek do komory w Belżcu przedstawia się następująco:

Z Krakowa miały one miejsce 5. i 12. czerwca i 28. 10. 1942.

Z Dębicy — 21. 7. 1942.

Ze Sędziszowa — 25. 7. 1942.

Z Wieliczki — 27. 8. 1942.

Z Wadowic — 3. 7. 1942.

Z Rymanowa — 1. 8. 1942.

<sup>3)</sup> Zeznanie Kamińskiej, Obserwacje Polki, Lb. 590.

<sup>4)</sup> Archiwum Wojew. Żyd. Kom. Histor. Kraków.

Z Rabki — 30. 8. 1942.

Z Czortkowa — 16. 7. 1942 i 28. 7. 1942.

Ze Zbaraża — 30. 9. 1942.

Z Tarnopola — 30. 7. 1942.

Ze Stryja — 5. i 17. 10. 1942.

Z Radziechowa — 15. 9. 1942.

Można by podawać niezliczony szereg dat, zbiorowych wysiedleń tzn. likwidacji Żydów w okresie kilku miesięcy. Niemiecki „geniusz” zbrodni dokonał milionowego mord na Żydach, w ciągu bardzo niedługiego czasu i na małym terenie ziemi. Przeciętnie lepił Niemiec dziesięć tysięcy ludzi dziennie, odbierając im powietrze, a uduszonych kazał grzebać ciasnymi warstwami nałożonymi jedne na drugich, góry zwłok ludzi zdrowych.

Robota niemiecka jest tajna. Gestapo świadome jest celu transportów. Niejednokrotnie przy przesłuchaniach, gestapowcy chcąc nasycić się męką swoich ofiar, szeroko opowiadali jaką śmiercią zginęli ich najdrożsi. Podczas akcji w Krakowie pewien gestapowiec każdą młodą i ładną dziewczynę, która chciała iść razem z matką, przerzucał tam, gdzie stali ludzie wysegregowani jeszcze na życie z okrzykiem: „Du Bloede”. Ale wbrew wszystkiemu bardzo długo utrzymywało się w ludziach uparte przekonanie, że transporty złożone z całych rodzin idą może na najcięższe warunki życia, ale że daje im się jeszcze szansę istnienia, że nie odbiera się im życia.

Podczas akcji w Nowym Sączu, Polka, obywatelka Konińska, proponowała pomoc znajomej swojej młodej dziewczynie, przyrzekając jej dobre ukrycie. Ta odmówiła jej bojąc się ucieczki, zupełnie pewna, że idzie na pracę i że w tej pracy zdoła przetrwać.

Świadek, kobieta mieszkająca w Lubaczowie opowiada:

„25 marca 1942 roku zaczęło wywozić z Rawy Ruskiej (40 km od Lubaczowa) do Bełżca. Z początku jeszcze nie wiedzieliśmy, co to jest Bełżec, ale bojąc się wysiedlenia, nie rozbieraliśmy się od marca 1942 do stycznia 1943, by być w każdej chwili gotowym do

ucieczki. Zbudowaliśmy bunkry. Całe lato, dwa razy dziennie, szły transporty Żydów 70 do 80 wagonów. Z wagonów słychać było jęki i płacze duszonych dzieci, większość nie wiedziała dokąd jedzie, pewni byli, że do pracy. Późniejsze transporty wiedziały już, że jadą do gazu; niektórzy wyskakowali z pociągu, inni byli tak zrezygnowani, że nie korzystali z możliwości ewentualnego ratunku. Koło nasypów i szyn leżały stosy trupów ludzi, którzy nie-szczęśliwie wyskakowali”<sup>5)</sup>

Niemiecka polityka zatajania prawdziwego celu transportów odnosiła skutek głównie dlatego, że fantazja człowieka nie była zdolna po prostu do wyobrażenia sobie prawdy. Obraz faktycznego stanu rzeczy umiała też zaciemnić perfidia działań niemieckich. Bywało, że Niemcy podczas akcji wysiedleńczej ludzili ludzi, że jadą na Ukrainę do robót polnych; stąd powstawały legendy o losie wywiezionych. Krążyły nawet wieści, iż ktoś rzekomo czytał list pisany przez znajomych, znajdujących się we Winnicy na Ukrainie o pracujących na roli Żydach.

Zdarzało się, że sami gestapowcy tłumaczyli, iż tych Żydów, których chcą zabić, zabijają na miejscu. Przeważnie wysiedlenia poprzedzane były rozstrzeliwaniem na miejscu i także w ten sposób dawali Niemcy łaknącym nadziei złudzenie, że wysłani idą na życie, a nie na śmierć. Cała ta taktyka miała prosty cel. Osłabić ducha oporu i ludzi, że posłuch nakazom niemieckim jest jedyną i najrozsądniejszą drogą. W ten sposób część nastrojów skłaniała się ku wierze, że prawdą są głoszone kłamstwa niemieckie. „Arbeit heisst Leben” „Praca oznacza życie” — oświadczali często gestapowcy młodym ludziom wybieranym do pracy, z pośród ogromnego tłumu skazanych na zagładę. „Arbeit macht frei” — „Praca da ci wolność” brzmiał napis na bramie w obozie w Oświęcimiu i w Sachsenhausen. Okłamywanie Żydów kończyło się dopiero przed samą komorą gazową, bo jeszcze na dziedzińcu śmierci ludzono tłum nagich skazańców. Temu celowi służył między innymi,

<sup>5)</sup> Zeznanie Fajgi Kanner Lb. 440.



*Ekzekucja w Bochni*

napis „Łaźnia” na budynku komory gazowej i jakby na urągowisko ogromny wazon z kolorowymi kwiatami.

Przy stwarzaniu tych fałszywych złudzeń i przeprowadzaniu perfidnej taktyki współdziałały także niemieckie czynniki cywilne. Tak np. w chwili morderczego wysiedlenia z Warszawy do Treblinki w marcu 1943 roku, kiedy komenda Żydowskiej Organizacji Bojowej apelowała do Żydów, by nie wierzyli Niemcom i nie dali prowadzić się bez oporu na rzeź, na murach ghetta warszawskiego ukazały się odezwy Toehboensa, niemieckiego komisarza warształów pracy żydowskiej, który stara się przekonać Żydów, że nie wysyła się ich na śmierć, a tylko do innych obozów pracy do Trawnik i do Poniatowa, następującymi między innymi wywodami, które podajemy w dosłownym tłumaczeniu polskim:

Żydowscy robotnicy zbrojeniowi! Nie wiercie tym, którzy was chcą w błąd wprowadzić. Chcą was podjudzić, by nastąpiły skutki, które są nieuniknione.

Nie ma pewności w „schronach” i życie po stronie aryjskiej jest również niemożliwe. Sama już niepewność zdruzgotalaby robotnika zbrojeniowego, przywykłego do pracy.

Pytam was, dlaczego nawet bogaci Żydzi przychodzą do mnie z dzielnicy aryjskiej z prośbą, bym im pozwolił pójść ze mną. Ci mają dość pieniędzy, by żyć w dzielnicy aryjskiej, ale nie mogą znieść tego życia.

Z całym przeświadczeniem mogę wam tylko radzić: Jedźcie do Trawnik, jedźcie do Poniatowa, bo tam są możliwości życia i tam przełrwacie wojnę. Dowództwo Organizacji Bojowej nie pomaga wam i daje tylko ciche obłędnie. Sprzedadzą wam w bunkrach miejsce za ciężkie pieniądze, by was wygnać potem na ulicę i zostawić waszemu losowi.

Przeżyłście sami dość manewrów wykrętnych. Wiercie tylko kierownikom niemieckich instytucji, co chcą razem z wami przeprowadzić produkcję w Poniatowie i Trawnikach. Zahłaczcie ze sobą wasze żony i dzieci, bo i nad nimi będzie rozłożona opieka!

Walter C. Toebbens  
jako pełnomocnik przeprowadzenia fabryk  
w żydowskiej dzielnicy w Warszawie \*)

Warszawa, 20. 3. 1943.

Miesiąc później ogłoszono drugą odezwę z daty 21. 4. 1943 r. a zatem już w czasie powstania w ghettie warszawskim, ludzącą wprawdzie również, ale już bez żadnych upiększeń literackich. Zapowiada ona zupełne wysiedlenie, przeprowadzenie maszyn i narzędzi pracy na inne rzekome miejsce pracy i kończy się w następujący sposób, mówiąc o zupełnym opuszczeniu ghetta warszawskiego:

„Zarządzenie to zostało ogłoszone, ponieważ z dnia na dzień zwiększające się trudności, nie dopuszczają żadnego rozwiązania sprawy.”<sup>7)</sup>

Wszelkie metody zmierzają do uspienia czujności Żydów. Najczęściej Niemcy nakładają kontrybucję jako prelude wysiedlenia, ale mimo nabytego w tak krótkim okresie czasu doświadczenia, że wypełniona kontrybucja nie jest okupem życia, wbrew prawdzie i logice, rodziła się na

<sup>6)</sup> Archiwum Wojew. Żyd. Kom. Histor. Kraków. Podkreślenie moje (N. R.).

<sup>7)</sup> Archiwum Woj. Żyd. Kom. Histor. Kraków.

świeżo zbiorowa nadzieja i opanowywała skupienia żydowskie. Miasteczko Mszana Dolna nie zapłaciła bez reszty nałożonej na nielicznych mieszkańców wysokiej kontrybucji. Wszystkich Żydów w liczbie ponad 900 wystrzelano 19. 8. 1942 roku. Ludzi tych ludzono, iż mają być wywiezieni do robót na Wołyn, nakazano im, by na stole zostawili u siebie kartki z wykazem wszystkich sprzętów, oraz klucze od mieszkania, a przed samą egzekucją kazali im Niemcy wykonywać gimnastykę, by rzekomo przekonać się ile mają siły. Egzekucji dokonano w obecności szefa gestapo ze Sącza Hamana i burmistrza z Mszany Władysława Gelba, który po przyjeździe Niemców zdeklarował się jako volksdeutsch. Mszana Dolna stała się przykładem ukarania nie-subordynacji wobec władz niemieckich w świecie złudzeń i fikcji stworzonym przez Niemców. Chociaż więc zapłacenie kontrybucji to tylko makabryczna opłata podróży na śmierć w komorze gazowej, to jednak od razu powstał pretekst do dalszego ludzenia się. Toteż Żydzi wysprzedawali ostanki swojego dobytku, by zdobyć pieniądze na zapłacenie kontrybucji. Z dokumentu żydowskiej rady w Niepolomicach wynika, że zaledwie kilka dni przed wysiedleniem żądane pieniądze złożono perfidnej władzy niemieckiej. Dokument ten podajemy w dosłownym tłumaczeniu w języku polskim:

Rada Żydowska Niepolomice  
Telefon 13

Niepolomice, 11. sierpnia 1942.

Dt.  
Starosty

w Krakowie

przez pana Komisarza

w Bochni

Odnosnie kwoty 300.000 złotych wpłaconej na konto zablokowane do dyspozycji pana starosty w Krakowie.

Rada Żydowska w Niepolomicach donosi, że przesłała ogólną kwotę 300.000 złotych (trzysta tysięcy złotych) na zablokowane konto, do

dyspozycji pana starosty w Krakowie, przez kasę okręgową w Krakowie na pocztowe konto czekowe Nr. 2374.

W załączeniu przesyła 3 odcinki wpłaconych kwot po 100.000 (sto tysięcy) złotych.

Judenrat w Niepolomicach  
Prezes

Załączniki:

3 odcinki pocztowych czekowych kont.<sup>a)</sup>

Ekspedycja piratów niemieckich ląknęła nie tylko krwi, łupiła też bogactwa. Armia grabieżców zahandlowała spadkiem zbiorowego trupa. Totalny przestępca obliczał i zbierał zyski. Włosy kobiet zebrane w licznych workach, stały się ściółką materaców niemieckich, złote zęby przelapiano na sztabki dla nich, zrabowane pieniądze i garderoba powędrowały do niemieckiej rzeszy. Jeden i ten sam gestapowiec pilnował robotników przy praniu ubrań ofiar zbrodni. Zawsze ci sami askarzy pełnili straż. Askarzy ci utrzymywali kontakt z okoliczną wsią.

„Wierzerami przychodzili do Belżca askarzy, sypali pieniędzmi, rozdawali odzież, nie opowiadali nic”.<sup>b)</sup>

Może więc dano im udział w zyskach przedsiębiorstwa, pod warunkiem zupełnego milczenia. Z milionów obrabowanych zebrał się wielki łup. Bardzo często Żydzi jubilerzy i zegarmistrze, zostają wydelegowani do sortowania pieniędzy w różnych miastach, do biur SS. Polizeiführera. Mają oni za zadanie sortować zawartość zrabowanych waliz tzn. kosztowności i pieniędzy. Wiemy z licznych relacji tych robotników o dużej ilości banknotów skrwawionych, przedziurawionych kulami pistoletów, podartych w strzępy. Wiadomo skąd pochodził ten łup.

Robotę w kaźni wykonywali tylko mężczyźni. Wydawałoby się, że niemiecki reżyser mordu lękał się, by nawet w niemieckiej kobiecie nie drgnęła jakaś głęboko ukryta nuta mistycznego macierzyństwa, i nie zapaliła się iskra

<sup>a)</sup> Archiwum Woj. Żyd. Kom. Histor. Kraków.

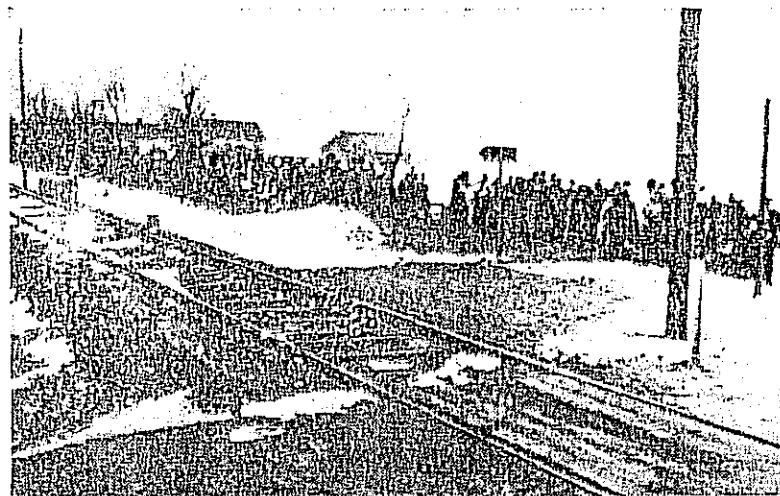
<sup>b)</sup> Zeznanie Lb. 590. Konińska (Obserwacje Polki).

litości dla dzieci wołających spoza ściany duszącej komory, głosem niedziennie przenikliwym i przeraźliwym. A może nie dowierzali dyskrecji kobiecej. Byli więc tylko mężczyźni i zawsze ci sami. Przez cały czteromiesięczny okres pobytu świadka Redera w Belżcu, załoga SS i askarów była niezmieniona. Według planu należało zautomatyzować wewnątrz niemieckich zwyrodnialców dla sprawnego wykonywania ich zbrodni społecznej. Wśród zbirów niemieckich byli specjaliści wrzasku i bicia. Były to również obmyślane sposoby, ubezwładnienia łękiem zastygłej woli masy ofiar. Wiedzieli, że właśnie katowaniem szybciej zapędzą do komór ludzi paraliżowanych strachem, dla których w tym momencie pozostawało jedynie pragnienie śmierci, byle prędko, byle już.

## II

### SZLAKAMI ŚMIERCI

Już po kilku latach trudno nam zrozumieć, jak zdołała bestia niemiecka kilka razy dziennie wieść na stracenie tysiące i tysiące ludzi, pośród ludzkich osiedli i jak ludzie ci pozwolili prowadzić się na zagładę z chwilą, gdy każda inna forma śmierci była by zbawieniem, każde ryzyko mniejsze od poddania się, każdy czyn rozsądniejszy i mniej bohaterski niż posłuch niemieckim nakazom. Wiadomo było przecież powszechnie, że wywożeni ludzie znikają, a równocześnie krążyły wieści, które brzmiały nieprawdopodobnie. Nieprawdopodobne bowiem wydawało się, że można tracić dziesiątki, setki tysięcy i wkrótce i miliony ludzi. Natomiast, właśnie prawdopodobną, chociaż bez żadnego realnego pokrycia wydawała się wiadomość, że ludzi brutalnie i zbrodniczo przewozi się w ciężkie warunki pracy, ale pracy a nie masowego zgonu. Rejestrowano te fakty. Starszych zabijano na miejscu, innych wysy-



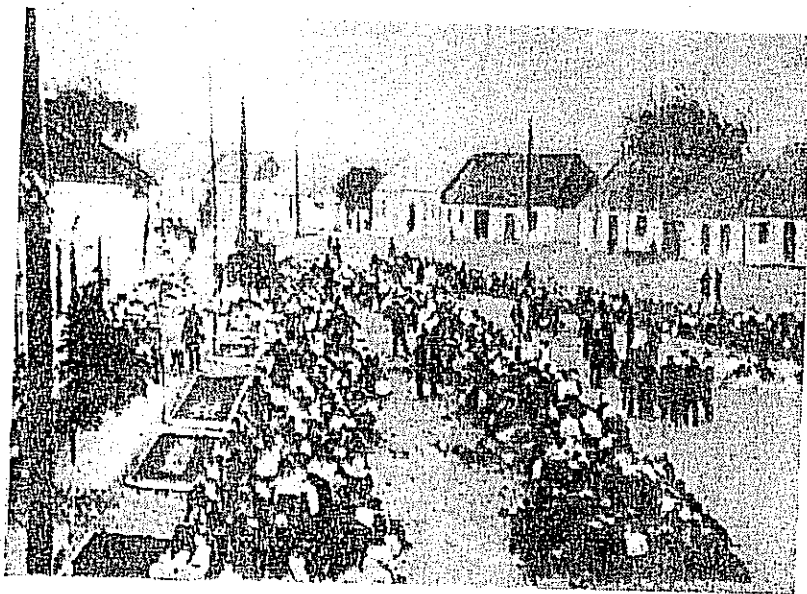
Wysiedlenie z Mielca

lano. Znowu jeden fakt, który dopuszczał myśl, iż Niemiec nie wymyślił jeszcze ostatecznej zbrodni. Naogół nakazano zabierać bagaż, mały bagaż, ale jednak znowu dowód życia. W Nowym Sączu, gdzie zapowiedziano całkowite wysiedlenie, kazano się fotografować, złożyć po dwie fotografie przepisane formatu. Pozostał stos tych fotografii ludzi wymęczonych podobnych do widm. Toteż mówiono o masowym mordzie, ale w gruncie rzeczy nie wlerżono, że jest to możliwe. Wieść o pierwszym mieście wysiedlonym tzn. wymordowanym, o Mielcu 19. 3. 1942 roku, dotarła do skupień i gheft wywołując zaniepokojenie, niezrozumienie, domysły, ale prosty niemiecki fakt, że Żydzi z Mielca zostali uduszeni i spaleni w Sobiborze nie zdobywał wiary, bo takie przypuszczenie w ludzkiej duszy o normalnej psychicznej budowie nie mogło zaistnieć.

Miedzy jednym a drugim wysiedleniem rozpowszechniano wersję, że więcej wysiedlenia nie będzie. Przewidywania i przeczucia kroczyły więc dziwnymi drogami, wśród chaosu

dezorientacji. Tego właśnie chcieli Niemcy. W pierwszym okresie wysiedleń w 1942 roku, od czerwca do listopada, kiedy jeszcze istniała niewielka możliwość ucieczki z getta, panujące były złudzenia i niewiara w możliwość wymordowania całego społeczeństwa. Kiedy później pod koniec 1942 roku i przez 1943 rok nawet optymiści musieli zrozumieć, że iść z transportem, tzn. konać przez cały czas transportowania po to, by skończyć w komorze gazowej, wtedy była już znikoma możliwość wydostania się poza mur getta, drut kolczasty i bezustanną straż.

Transport był częścią śmiertelnościowego narzędzia, jednym kołem maszyny komory gazowej. Metodą transportowania skazańców miała swój system. Transporty „mniejsze” tzn. kilkusetosobne szły na ogół szybko wprost do celu. Taka podróż mogła trwać dzień lub nawet pół dnia. Z miast małopolskich, gdzie przeprowadzono zupełne wysiedlenie, po poprzednim



*Jeszcze jeden transport śmierci*

skoncentrowaniu tam Żydów z całej okolicy i osiągnięciu transportu olbrzymiego kilkunastotysięcznego, droga celowa trwała kilka dni. Odbierano wszystko, nawet najdrobniejszy chlebaček, odmawiano kropli wody, podłogę wagonu posypywano przeważnie niegaszonym wapnem i w ten sposób cała masa ludzi ginęła już w drodze. Niemal zawsze przed załadowaniem były samobójstwa. Trupy wrzucano do wagonów. 19 września 1942 roku w Brodach, znana lekarka dr. Jawroner i jej siostra popełniły samobójstwo na stacji przed załadowaniem. Trupy te kazał ss-man wrzucić do wagonu zapelnionego ludźmi<sup>10)</sup>. To było na porządku dziennym wszędzie. We Wieliczce np. gdzie również było równocześnie pierwsze i ostatnie wysiedlenie, transport był planowo zabójczy. Z obserwacji Polki podajemy:

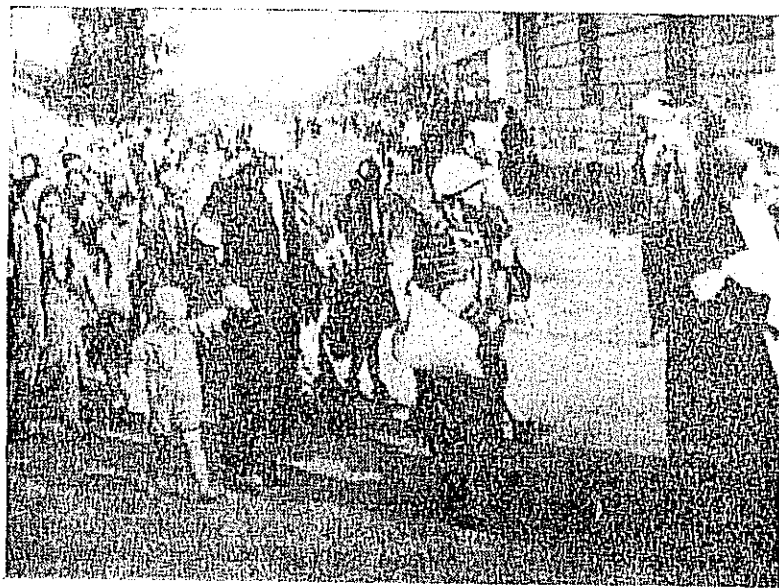
„O godzinie czwartej po południu zaczynają ludzi pakować do wagonów. Po stu przeciętnie. Wszystkie walizy, pakunki i tłumoki odbierają. Wagony kryte, okienka małe, odrutowane, posadzki niegaszonym wapnem posypane. Stojąc jeden obok drugiego, ludzie błagają o wodę i wpuszczenie powietrza gdzie się dusili. Transport przeznaczony był do Belżca, a jazda miała trwać pięć dni”<sup>11)</sup>.

I tak trwała. Z licznych faktów można przytoczyć pierwszy lepszy. Młoda dziewczyna N. Kandel dowiedziała się w Krakowie, iż matka jej jest w transporcie z Wieliczki — udała się na poszukiwanie i na trzeci dzień po wyruszeniu transportu zastała jeszcze pociąg na torze w Bieżanowie. W Nowym Sączu przeznaczonym również na całkowite wysiedlenie skoncentrowano kilkanaście tysięcy Żydów z całej okolicy. Trzymano ich w ciasnym getcie, o głodzie, w brudzie i chorobach przez tydzień, zanim pognano na śmierć, pozostawiając na miejscu setki trupów. Do Belżca zajeżdżały wagony, z nich wiele dzieci wyrzucano poduszonych na peron. Niemcy wrzucali je z powrotem. To samo działo się w Rawie Ruskiej i wszędzie<sup>12)</sup>.

<sup>10)</sup> Zeznanie Samuela Weilera, Lb. 398.

<sup>11)</sup> Zeznanie Lb. 249. Maria Bajorkowa (Obserwacje Polki).

<sup>12)</sup> Zeznanie Lb. 328. Ksawera Drogowska (Obserwacje Polki).



*Droga do pociągu śmierci*

W Skawinie 3.000 ludzi załadowano do wagonów po 160 osób w wagonie, napelnionym wapnem niegaszonym, przykrytym słomą, odrulowanym. Jedzenie i bagaż odebrano. Załadowano ludzi w sobotę, a w poniedziałek odtransportowano<sup>13)</sup>. Z Kolomyi pociąg z transportem opatrzone olbrzymimi napisami „Verpestete” („Zaraza”). Podobnie z Czortkowa 2.800 ludzi wywieziono do Belżca. W czasie doprowadzenia do wagonów zginęło szereg osób. Trupy wrzucano do wagonów, gdzie ich transportowano razem z żywymi<sup>14)</sup>.

Zanim następowało „Aussiedlung” („wysiedlenie”) ludzie przeżywali długi bolesny proces śmierci woli życia. Niemcy programowo stosowali przez cały czas okupacji system nękania i upokarzania Żydów. Wszystkie zarządzenia i cała prak-

<sup>13)</sup> Zeznanie Bernarda Fleischmana, Lb. 345.

<sup>14)</sup> Zeznanie dra Izraela Schorra, Lb. 360.

tyka życia zmierzali do tego celu. Oddzielenie od reszty społeczeństwa, napiętnowanie szczególnymi oznakami, pozbawienie wszelkich praw ludzkich i obywatelskich, niewola bezsilnej pracy, szykanowanie, bicie, akty zbrodni na każdym kroku — wszystko to w końcu doprowadzało ludzi do zubożenia i bierności. A mimo to groza „wysiedlenia” ciążyła gnębiąca i tragiczna nad każdym skupieniem żydowskim i na samą myśl o tym zamierało życie i bezradna myśl tłukła się w sercu każdej matki dziecka, każdego żywego Żyda, mimo umęczenia dnia codziennego, mimo przygotowania się na śmierć. Bo jednak były chwile, że zapominali o tym, że są żydowskimi skazańcami i młodzi pragnęli żyć pełnią młodości, dzieci chciały się bawić i cieszyć i ludzie pełni siły marzyli dalej o życiu, o pracy, o szczęściu istnienia. Dlatego też każde „wysiedlenie” zapowiedziane, czy znienacka przeżyte śmiertelnym przerażeniem skuwało ludzi. Co się działo w zapłombowanych wagonach, które wiozły torami śmierci niewinnych, zdrowych, żywych ludzi? Do tego kolla wrzucali Niemcy wszystkich razem, zdrowych i chorych, pogubione dzieci, rozdarte rodziny; w transportach późniejszych, w okresie, kiedy pesymistyczne stanowisko zaczynało zwyciężać, gdy prawda zaczynała się rozpowszechniać, coraz więcej ludzi ucieka z transportu.

Ucieczka nie jest łatwą, a prócz ucieczki trzeba przejść pośród mieszkańców wsi przytorowej. Mała część próbujących szczęścia ocalała.

„W listopadzie 1942 roku załadowano nas do Belżca. Tramwajami wzięli nas na Kleparów z Żydami chorymi na tyfus z obozu janowskiego. Ciśno — stało się na jednej nodze. Chorzy, obłąkani, owrzdzeni, prawdziwy dom wariatów, ryki i szloch zwierząt są niczym, w stosunku do ryku tych ludzi. Owrzdzeni ocierają się o towarzyszy, wiją się z bólu. Jechaliśmy bez kropli wody, błagaliśmy o trochę śniegu, nikt nie chciał dać. Kilku z nas wyskoczyło. Inni tak zrezygnowani, że im wszystko było obojętne<sup>15)</sup>.”

<sup>15)</sup> Zeznanie Karola Tennenbauma, Lb. 479.

Przy transportach ze wschodu Niemcy wprowadzali jeszcze nakaz rozebrania się do bielizny i złożenia butów. Chodziło o utrudnienie ucieczki z pędzącego pociągu. Toteż ludzie uciekający z wagonów śmierci, często całkiem nago — nawet w zimie, pędzili kilkanaście kilometrów, aż do jakiegoś miejsca, gdzie było jeszcze jakieś skupienie żydowskie. Ci, którzy postanowili uciekać, zazwyczaj ukryli obcegi czy inne narzędzie, odrywali deski koło okna i wyskakiwali. Ważne było też, czy znalazła się energiczna jednostka w wagonie, która organizowała ucieczkę. Znamy wypadki próby ucieczki z wagonów z trzech po sobie następujących transportów, ucieczki ostatecznie udanej. Opowiada nam młoda dziewczyna:

„Lorami tramwajowymi odtransportowano nas na Kleparów. Rozrywaliśmy zapory lor, usiłowaliśmy uciekać. Nie udało się. Przechodnie wypalali nas i oddali Niemcom. Ile palek i kopnięć dostałam — trudno opisać. Jednak nie zrezygnowaliśmy z ucieczki. Każda miała ze sobą jakieś narzędzie, kawałek żelaza, czy bodaj kamień. Była z nami jedna starsza osoba lat 65, prosta kobieta z Buczacza, niezwykle energiczna i ona organizowała ucieczkę. Po 100 osób wepchnięto do wagonów jak bydło. Mróz w wagonie, mokro, głód, dwa dni bez jedzenia, bosa, bez płaszczy, małe dzieci, rozdzierające sceny. Gdy tylko pociąg ruszył, zaczęła się nasza praca. Powoli roznieśliśmy wagon, rozbijaliśmy każdą deskę w ścianie, zasłoniłyśmy dziury kocami, żeby siedzący na dachu Niemcy nie zauważyli i gdy dziura w ścianie była dostatecznie wielka, zaczęliśmy po kolei skakać. Prawie wszystkie wyskoczyły, została tylko jedna młoda dziewczyna, która nie chciała się rozstać ze swoją chorą, starą matką. Wykoczyłam z pociągu, strzelił za mną Niemiec, przestrzelił mi rękę. Dużo trupów na torze. Koło toru grasowała okoliczna ludność ukraińska, która rabowała, ściągala buty i płaszcze i często odprowadzała do Niemców. Ja z małą dziewczynką z Żółkwi, bosa i pół naga, przyszyliśmy do Żółkwi”<sup>10)</sup>.

Ucieczka to była ostatnia walka o życie bardzo rzadko uwieńczona powodzeniem. Ludzie wyskakiwali, ale wielu wpadało pod koła i zabijało się na miejscu. Dwie kobiety, z których jedna miała 18-miesięcznego chłopczyka umówiły się, że najpierw jedna wyskoczy, owinie się dziecko i wyrzuci się je

<sup>10)</sup> Zeznanie Gizi Petramker, Lwów, Lb. 504.

przez otwór, a później wyskoczy druga kobieta. Matka dziecka wyskoczyła pierwsza, a kiedy druga kobieta wzięła dziecko, by je wyrzucić, chłopczyk złoczył rączki i powiedział do niej: aniółku! nie mogła wyrzucić dziecka. Wziął je wtedy z rąk mężczyzny, dziecko wyrzucił przez okno, zostało na miejscu z rozbitą główką. Po drodze rozlegały się jęki i wołania ludzi leżących na torze; leżeli bez rąk i nóg, tak, że śnieg koło nich był czerwony od krwi<sup>11)</sup>.

Innym razem znalazła się jakaś walizka w wagonie. Zrobiono w niej dziurę i włożono w nią małe dziecko, wyrzucono je przez wydrążony otwór. Dziecko się uratowało. W pewnym transporcie z Bóbrki, rozcinali ludzie druty w okienkach, śpiewali głośno, by zagłuszyć stuk młotków i hałas przerywanego pilami drzewa. Z tegoż transportu uciekło 60 osób, przy życiu zachowały się dwie. Resztę osób zabili Niemcy i Ukraińcy, którzy ich w drodze złapali. Zamknięci w wagonach-trumnach ludzie pchani ostatkiem instynktu życia, rozsadzali nawet wagony. Nocne transporty były szczęśliwsze. Większość tych, którzy wpadli w ręce gestapowców ginęła od ich kul, wielu ciężko rannych nie mogło uciekać, czekało na śmierć z ręki milicji ukraińskiej, która z zimną krwią dobijała ludzi i zdierała resztki odzieży. Pola położone wzdłuż trasy, były po każdym transporcie zasiane trupami. Rozgrywały się przy tym rozpaczliwe sceny. Matki często skakały przez okno, za nimi wyrzucał ktoś dziecko, matka znajdowała dziecko zabite, lub odwrotnie. Mała, ośmioletnia dziewczynka wspomina te chwile:

„Pojechaliśmy do Bełżca, mamusia po drodze wyskoczyła, mnie mieli zaraz wyrzucić, ale był ścisk i nie mogli mnie wyrzucić. Mamusia krzyczała, żeby mnie rzucić, jeden Niemiec usłyszał, strzelił i mamusię zabił. Ale ja wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Potem mnie wyrzucili, jak się obudziłam, bardzo płakałam, bo byłam sama i dużo lasów było wszędzie; spotkałam jeszcze jedną dziewczynkę taką jak ja. Ona też wyskoczyła; także dwie panie były. Poszłyśmy razem do łagru”<sup>12)</sup>.

<sup>11)</sup> Zeznanie Wohlmuth Tauby, Lb. 576.

<sup>12)</sup> Zeznanie Leider Mani, Przemyślany Lb. 246.

Zdarzało się, że chłopcy dwunastoletni, lub młodszy nawet postanawiali bronić się i żyć. Jednego chłopca wpakowano do wagonu, było tam ciemno, duszno, okropnie. Nie mógł i nie chciał tam zostać. Namawiał też siostrę i brata, by z nim uciekli, nie chcieli. Skoro już dostali się do wagonu, chcieli tam pozostać, ale on nie chciał. Ludzie wycięli dziurę w wagonie. Pożegnał się z siostrą i bratem i wyskoczył. Nawet się nie poślukł. Kuzyn jego, też chłopak dwunastoletni, również wyskoczył, spotkał się z nim, — poszli razem. Inni chłopcy w transporcie załadowani na lory tramwajowe pojechali na dworzec Kleparowski. W wagonie były dzieci, niektóre dzieci zupełnie małe bez rodziców, jedno dziecko malutkie i nagie zmarło zaraz we wagonie. Kazano zdejmować buty i płaszcze. Chłopak siadł razem z innymi na ziemi, zdjął buty. Boso i bez płaszcza znalazł się we wagonie. Było w tym wagonie 140 ludzi, pod ścianą leżeli chorzy na tyfus, umierający i małe dzieci. Niektórzy się modlili, inni płakali. Wszyscy wiedzieli jedno: jadą do Bełżca. Od 12-tej w południe stali we wagonach do 11-tej w nocy. Wtedy nastąpił wyjazd. Już koło Brzuchowic zaczęli przygotowywać się do ucieczki. Wiedział, że jedzie na śmierć, nie chciał umierać, ale jeśli już, to nie w Bełżcu, nie w gazie. Pierwszy wyskoczył przez okienko, które było bardzo wysoko, mały chłopak, za nim jeden mężczyzna, a on trzeci. Z pociągu prawie nieustannie strzelano, bo ciągle ktoś wyskakiwał. Ale było ciemno i trudno było trafić<sup>19)</sup>.

Dookoła wielowagonowych pociągów męczeńskich, bezsensownej śmierci, w których zaryglowano ból, bunt młodości, lęk dzieci, rozciągał się szeroki świat. Świat pod knutem niemieckiego potwora, ale świat ludzi jeszcze żywych. Ludzie ci widzieli transporty, słyszeli jęki i skargi wydobywające się z pociągów, słyszeli błagania o kroplę wody. Były chwile, w których atmosfera współczucia lub wrogości ratowała lub pozbawiała życia. Świat ten przytorowej krainy ostatniego

<sup>19)</sup> Zeznanie Adama Landesberga, Lb. 60.

szamotania się z przemocą, ostatniego heroicznego krzyku o życie, podzielił się na zbawców i łupieżców. Przy torach grasowały bandy opryszków, które upatrywały swoje ofiary. Może odzież, a może coś w tej odzieży się ukrywa. Niemcy i Ukraińcy tropili nielicznie ocalałych z milionów skazańców. Niemieckie kobiety przyzwalały, potwierdzały.

„W lipcu 1942 roku — „akcja"... Pięć tysięcy zostało wysiedlonych do Bełżca. Do wagonu wciśnięto 150 osób. Niemcy wsypani do wagonów proszek amoniakowy, który dusił i wyciskał łzy. Wszyscy rozpaczali, dzieci płakały. Naprzeciw tego pociągu stał pociąg osobowy, w którego pułmanowskich wagonach przy oknie stały niemki i głośno się śmiały z rozpaczki Żydów“<sup>20)</sup>.

Zwłaszcza na terenach wschodnich grasowały bandy ukraińskie, by ludzi wydawać Niemcom, zabić i ograbić. W takim terenie około Żółkwi, jedna polska wieś Kościejów, była zawsze ofiarną, zawsze pomocną. Ludzie tej wsi wygłodniałym dawali żywność, nagim odzież.

Atmosfera otoczenia w promieniu transportów śmierci miała zasadnicze znaczenie. Jeśli już ktoś zdołał się uratować napotkawszy na przychylność, dobrą wolę i pomoc, dźwigał się na duchu i szedł w dalszą, gehenną silniejszy. Wszystkie transporty śmierci liczące około dwóch milionów ofiar dojeżdżały do kresu męczeństwa, — dziesiątki osób, czy nawet setki próbowały ratować się ucieczką w czasie drogi, — a ocalały jednostki.

### III

#### DOKUMENT HISTORYCZNY

W epoce ideologii i nicości niemieckiej, pewne słowa nabrały specyficznego znaczenia. Badanie ich prowadzi do odkrycia samych faktów. Słowo „Aussiedlung“ tłumaczy

<sup>20)</sup> Zeznanie Janiny Sobel Stryj, Lb. 562.

autor ciekawej pracy językowej (znajdującej się obecnie w druku) N. Blumenthal, jako zagładę ludzi i rabunek mienia. Jest to znaczenie właściwe tego słowa w dalszym rozwoju wypadków. W związku z okupacją słowo „Aussiedlung” w stosunku do Żydów oznaczało początkowo pojęcie wypędzenia Żydów z jednego miejsca na inne, przymusowe porzucenie ich dobytku. Znajdujemy liczne niemieckie rozporządzenia w związku z rzekomym obsadzaniem placówek pracy, czy z nakazem opuszczania wielkich miast; ludzie więc znali to pojęcie, także w swojej pierwotnej treści groźne. Oznaczało ono ruinę, ponieważ, znalazzenie się nagle bez pracy, co dla Żyda stanowiło niebezpieczeństwo życia, słowem oznaczało udęczenie zadawane im ustawicznie przez Niemców. Ostateczne i wstrząsające znaczenie słowa „Aussiedlung” wyłania się z dokumentu, w którym mowa jest o naradzie SS w sprawie transportów żydowskich. Hauptsturmführer Hoeflle dowódca „Einsatz Reinhardt” Lublin Rollkommando, które przeprowadziło akcję w Warszawie (w lipcu 1942, w styczniu 1943, w kwietniu 1943) podaje plan wysyłki Żydów do Bełżca, skąd już nigdy do GG nie powrócą. Podajemy brzmienie tego dokumentu in extenso w dosłownym tłumaczeniu polskim:

Lublin, 17. III. 1942. Ref. II. r/Wa.

Dnia 4. 3. 1942 otrzymałem telegram od władz miasta Krakowa, podpisany przez pana prezydenta oddziału SS — Sieberta, w którym zdanie końcowe brzmi następująco:

Proszę być pomocnym SS- i Polizeiführerowi w jego zarządzeniach.

Dnia 7. 3. otrzymałem wezwanie telefoniczne władz, majora Reggera, w związku z wysiedleniem Żydów z Mielca do województwa Lubelskiego, w którym wyraźnie żądano porozumienia z SS- i Polizeiführerem, oraz stałego kontaktu z nim, a zaznaczono, iż przywiązuje się jak największą wagę do tego porozumienia. Postarałem się zatem natychmiast wejść w porozumienie z Stabsführerem Nemesem. Nie udało mi się to, mimo wielokrotnego telefonowania w krótkich odstępach czasu w przeciągu trzech dni. Dopiero gdy połączyłem się z biurem personalnym GG., otrzymałem wiadomość, że Stabsführer Nemes jest na urlopie. Dnia 12. 3. 1942 zostałem skierowany do Obersturmführera Pohla, który jednak nie był referentem dla spraw wysiedlenia Żydów. Skierował mnie do Hauptsturmführera Hoeffla, Schreckka-

serne, telefon 1570/25 (po godzinach urzędowych 2004). Z Hauptsturmführerem Hoeflle umówiliśmy się na konferencję (zdanie przekreślone atramentem) a mianowicie na 17.30. W przebiegu konferencji wyjaśnił Hauptsturmführer Hoeflle co następuje:

1) Byłoby wskazane, by nadchodzące do województwa lubelskiego transporty Żydów segregować już na stacjach wysyłki transportów, na zdolnych do pracy. Na wypadek gdyby to było niemożliwym na stacjach wysyłki, należałoby dokonać oddzielenia transportu w Lublinie według wyżej zaznaczonego punktu widzenia.

2) Żydzi niezdolni do pracy idą wszyscy do Bełżca, końcowej stacji w powiecie Zamość.

3) Hauptsturmführer Hoeflle przygotowuje budowę wielkiego lagru, w którym mają być umieszczeni Żydzi zdolni do pracy i posegregowani według swych zawodów, skąd możnaby ich przydzielić do pracy.

4) Piaski mają być opróżnione z Żydów z Polski i mają być punktem zbiorczym dla Żydów przybyłych z Reichu.

5) W Trawnikach nie będą Żydzi chwilowo pomieszczeni.

6) Hauptsturmführer pyta, czy na linii Dąblin—Trawniki można wyładować 60.000 Żydów. Pointmowany co do transportu Żydów wyjeżdżającego teraz od nas, oświadczył H., że z przybyłych ze Suśca 500 Żydów, mogliby być niezdolni do pracy wysortowani i wysłani do Bełżca. Wedle telegramu rządu z 4. 3. 1942, wyjeżdża transport Żydów z protektoratu do miejsca przeznaczenia w Trawnikach. Tych Żydów nie wyładowano w Trawnikach, lecz zostali przewiezieni do Izbicy. Pytanie starosty z Zamościa, czy możnaby sprowadzić stamtąd 200 Żydów do pracy, zostało przez H. potwierdzone.

W końcu oświadczył, że mógłby dziennie dostarczyć 4—5 transportów po 1000 Żydów do stacji końcowej Bełżca. Ci ludzie przejdą granicę i nie wrócą więcej do Generalnej Gubernii<sup>21)</sup>.

Vermerk Lublin, den 17. III. 1942 Ref. II. R/Wa.

Ich erhielt am 4. 3. 42, ein Fernschreiben der Regierung Krakau unterzeichnet vom Herrn Abteilungspräsidenten SS. Siebert, in welchem der Schlusssatz wie folgt lautet:

„Ich bitte dem SS- und Polizeiführer in Lublin bei seinem Massnahmen behilflich zu sein. Am 7. III. ein Anruf von der Regierung Herrn Major Regger der im Zusammenhang mit der Judenausiedlung aus Mielec in den Distrikt Lublin stand und in welchem ausdrücklich verlangt wurde das Einvernehmen mit dem SS-Polizeiführer herzustellen und zu pflegen u. das auf dieses Einvernehmen grösster Wert gelegt wird. Ich versuchte nun sofort, mit Stabsführer Nemes in Verbindung zu treten. Dreitägige kurzfristig aufeinander folgende Anrufe blieben

<sup>21)</sup> Archiwum Centralnej Żyd. Kom. Histor. Łódź. Podkreślenie moje (N. R.).

ohne Erfolg. Erst nachdem ich mich mit dem Personalamt der SD. in Verbindung gesetzt hatte, wurde mir der Bescheid, dass Stabsführer Nemes in Urlaub ist.

Am 12. 3. 42, wurde ich an Obersturmführer Pohl, gerichtet der aber auch nichts der zuständige Sachbearbeiter für Judenaussiedlung war. Er verwies mich an Hauptsturmführer Höfle Schreckkaserne<sup>22)</sup> Telefon 1570/25. (Nach Dienstschluss unter 2004 zu erreichen). Mit Hstf. Höfle vereinbarte ich für Montag den 16/3, 1942 eine Unterredung (przekreślone almanchem zdanie) und zwar 17. 30. Im Laufe der Unterredung wurde folgendes vom Hstf. Höfle erklärt:

1) es wäre zweckmässig, die in den Distrikt Lublin kommenden Juden Transporte schon auf der Abgangstation in Arbeitseinsatzfähige Juden zu teilen. Wenn diese Auseinanderhaltung auf der Abgangstation nicht möglich ist, musste man eventuell dann überlegen, den Transport in Lublin nach den oben genannten Gesichtspunkten zu trennen.

2) Nichtleistungsfähige Juden kommen sämtlich nach Belzec der aussersten Grenzstation im Kreise Zamość.

3) Hstf. Höfle ist daran ein grosses Lager zu bauen, in welchem die Einsatzfähigen Juden nach ihren Berufen partelmässig erfasst und von dort angefordert werden konnten.

4) Piaski wird von polnischen Juden freigemacht und wird Sammelplatz für aus dem Reich kommende Juden.

5) Trawniki wird vorläufig nicht mit Juden belegt.

6) H. fragt ob auf der Strecke Dęblin—Trawniki 60.000 Juden ausgeladen werden können. Über die jetzt von uns auslaufenden Juden Transporte orientiert, erklärte H. dass von den 500 in Suszec angekommenen Juden die nicht arbeitsfähigen aussortiert und noch nach Belzec geschickt werden konnten. Laut Fernschreiben der Regierung vom 4. 3. 1942 sollte ein Juden Transport aus dem Protektorat mit der Bestimmungsstation Trawniki geschickt werden. Diese Juden sind nicht in Trawniki ausgeladen sondern nach Izbica gebracht wurden. Eine Anfrage des Kreishauptmannes Zamość von dort 2000 Juden zur Arbeit heranziehen zu können, wurde vom H. bujaht Abschliessend erklärte er, er könnte täglich 4—5 Transporte zu 1000 Juden mit der Zielstation Belzec aufnehmen. Diese Juden kommen über die Grenze und werden nie mehr ins Generalgouvernement zurückkommen.

Wynika z tego dokumentu do jakiego celu służyć miał Belzec i w jakim ogromnym zasięgu miał on pochłaniać ofiary i jaki sztab ludzi planował i przeprowadzał system zbrodni niemieckich.

Belzec jest mordownią najgruntowniej zakonspirowaną

<sup>22)</sup> słowo, prawdopodobnie szyfr, którego znaczenia nie zdołano wyjaśnić.

pośród innych fabryk śmierci masowej. Nikt poza świadkiem naocznym R. Rederem, którego zeznanie podajemy, nie utrzymał się przy życiu. Żaden dokument poza wyżej cytowanym, pochodzący od władz centralnych, nie jest chwilowo dostępny. Jest pewne, że z czasem akta z za kulis zbrodniczego planu i jego wykonania się ujawnią. Dziś na podstawie indagacji jedyne go świadka Redera, z którego zapodań korzystał Bielajew w artykule z września 1944 opublikowanym w ukraińskiej gazecie „Wilna Ukraina” i „Czerwonym Szlendarze” wrzesień 1944 Lwów p. t. „Wieczne Ognie Belzca”. na podstawie wywiadów spośród ludności okolicznej oraz z dokumentów odnoszących się do podobnych mordowni na małą skalę, „aut gazowych”, można ustalić hipotetyczne dane o obozie, o liczbach wymordowanych, datach i sposobie zabijania.

Ludność okoliczna przede wszystkim zamieszkała w małej miejscowości Belzec podaje, że już z końcem 1941 roku budowało się kilka baraków w odległości dwóch kilometrów od stacji tej wioski. Intensywna budowa rozpoczęła się z początkiem 1942 roku przez brygadę żydowską, z której nie pozostał nikt żywy. Miesiące, w których świadek Reder przebywał w obozie od sierpnia do końca listopada 1942 były niewątpliwie okresem największego liczbowo mordowania Żydów, nie mniej transporty, zgodnie z zapodaniami obserwatorów z Belzca, Rawy Ruskiej, Kulikowa, Lubaczowa, nie ustają — i w ciągu 1943 roku już bez porównania rzadsze i o dużo mniejszej ilości wagonów. W sumie można przypuścić liczbę dwóch milionów, uduszonych w komorze gazowej.

Mieszkanca Lubaczowa opowiada:

„Od samego początku tzn. od marca 1942 roku, aż do 3-go stycznia 1943 roku, obliczaliśmy wagony, obserwowaliśmy ile szło dzienne transporty i naliczyliśmy przez cały ten czas, blisko dwa miliony wysłanych Żydów do Belzca”<sup>23)</sup>.

<sup>23)</sup> Zeznanie Felgi Kanner, Lb. 440.

To samo stwierdzają inni mieszkańcy pobliskich miejscowości. Jeśli więc doliczymy transporty początkowe rzadsze i mniejsze, późniejsze już również sporadyczne, cyfra wymordowanych w Bełżcu obliczona na dwa miliony nie będzie przesadzona.

Świadek Reder podał nam niedokładny opis maszyny, która zabijała w Bełżcu. Na podstawie tego opisu, nie mogli maszynoznawcy wyciągać wniosków o rodzaju mechanizmu, jaki ona poruszała. Natomiast dane dalsze dotyczące sposobu zabijania, rzucają snop światła na tę makabryczną zagadkę. Fakt, że trwanie konania obliczano na 20 minut, w czym 10—15 minut trwały w początku przeszywające dalekie przestrzenie krzyki, z których wyraźnie rozpoznać można było słowa i jęki, które stopniowo łagodniały, cichły, a w końcu milkły zupełnie, fakt, że nigdy nie przynoszono żadnych cyklonów z gazem, natomiast kanistry z benzyną, dużo więcej ponad ilość potrzebną do puszczania motoru, fakt, że gaz nie pozostawiał woni, wreszcie niezbity fakt, że zwłoki były niezmienione, wyglądały jak ludzie pogrążeni w głębokim śnie, te dane, były podstawą rozważań sekcji lekarskiej Towarzystwa Przyjaciół Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie, złożonej z lekarzy, dr. dr Aleksandrowicza, Bornsteina, Liwszyca, Loewówny, Mandla, Mirowskiego i innych, którzy po długiej naradzie, w porozumieniu z chemikiem i profesorem medycyny sądowej, odrzucili przypuszczenie, iż zabijano przez wysokie ciśnienie, lub przez wywołanie próżni powietrznej, lecz postawili hipotezę, że benzyna używana w takich ilościach, służyła nie tylko do obsługi motoru, ale produkowała gaz spalinowy, tlenek węgla, dopuszczany do komór gęsto zapchanych tłumem w pomieszczeniach niskich bez powietrza w takiej ilości, iż musiał on spowodować zgon natłoczonych tam ludzi.

Powolne działanie tego gazu, nie wywołuje gwałtownych zmian w fizjonomii zmarłego. W gazecie rosyjskiej „Izwestia” z 15 grudnia 1945, opublikowano sprawozdanie

z procesu w Norymberdze. Między innymi korespondent przyłącza dwa dokumenty przedstawione przez prokuratora. Te dokumenty z wyczerpującą siłą wskazują, jak szczegółowo była opracowana przez hitlerowców, nie tylko technika, ale i psychologia systemu mordowania ludzi. Prokurator cytuje raport Untersturmfuehrera SS. Beckera. W raporcie jest mowa o praktyce zabijania ludzi w gazowych maszynach tzw. „Duszogubach”. Becker zaleca maskowanie „gazowagonów”, ażeby nie wywoływać u ofiar podejrzeń, a nawet malować na ścianach samochodów okna, jakie normalnie mają połowe maszyny. Mimo wszystko stały się one tak sławne, że je nazwano „duszogubkami”. W dalszym ciągu Becker troszczy się o personel obsługujący „duszoguby” i zaleca obsłudze trzymać się z daleka od samochodu, podczas działania gazu, ażeby nie nadwierać zdrowia. W raporcie jest przewidziany nawet ujemny wpływ widoku uduszonych na esesowskich zbrodniarzy. Becker zauważa, że deformacje twarzy nieboszczyków wywołujące nieprzyjemne wrażenie na obsługującym personelu, pochodzą stąd, że szofer często spieszy się i gwałtownie naciska przyrząd regulujący dopływ gazu. Autor raportu radzi posługiwać się tym przyrządem w sposób powolny i umiarkowany i zapewnia iż wówczas, twarze nieboszczyków, będą miały wygląd śpiących wiecznym snem.

Jeśli więc Niemcy zrobili tego rodzaju doświadczenie, iż w samochodach gazowych, stosowanie gazu spalinowego w szybkim tempie i w bardzo krótkim okresie czasu, wywołuje gwałtowne zmiany we wyglądzie uduszonych ludzi, natomiast powolne wpuszczanie gazu pozostawia twarze niezmienione, to stąd można by wywnioskować, że także w komorze gazowej w Bełżcu, zgodnie z doświadczeniem i centralnymi instrukcjami (których źródło jeszcze nie znamy) stosowano ten sam system i te same sposoby, dzięki którym osiągnęto cel tzn. wymordowanie milionów ludzi, których konanie wprawdzie trwało długo, ale dzięki temu swo-

im wyglądem nie działali denerwująco na Niemców i Ukraińców zatrudnionych przy produkcji śmierci.

Z naiwnością niezrozumiałą i godną skromniejszych morderców, zacierał Niemiec ślady swej zbrodni. Można bowiem oszukać resztkę bezbronną ludzi, wciągnąć je w pułapkę i zgładzić bez mrugnięcia okiem, ale historii i sądu pokoleń podejść nie podobna. Ten osąd w przyszłości określi należne miejsce przestępczym Niemcom w hierarchii narodów. Niemcy dokonały mordu milionów ludzi, z pełną premedytacją oraz zamachu na całą ludzkość, objawiając światu dehumanizację i młast człowieka podstawiając bestię chępiącą się wyrządzać wielkiej krzywdy.

Nella Rost

## B E Ł Ź E C



sierpniu 1942 r. jeszcze nie mieliśmy odrębnego getta we Lwowie. Kilka ulic przeznaczono wyłącznie dla Żydów. Stanowiło to więc dzielnicę żydowską, składającą się z paru ulic wydzielonych z trzeciej dzielnicy Lwowa, jak: Panieńska, Wąska, Ogrodnicza, Słoneczna i Inna. Tutaj żyliśmy niepokojnie i w nieustannym udręczeniu. Już na dwa tygodnie przed wysiedleniem mó-

wiono powszechnie o zbliżającym się nieszczęściu. Rozpaczaliśmy. Wiedzieliśmy już wówczas, co oznacza słowo „wysiedlenie”. Opowiadano bowiem, że z załogi śmierci w Belżcu udało się zbiec jakiemuś robotnikowi, który w pierwszych dniach zakładania fabryki śmierci budował komory i ten opowiadał o „łaźni”, która w rzeczywistości była budynkiem, przeznaczonym na komory gazowe. Przepowiadał, iż z ludzi, których tam popędzą, nikt nie powróci.

Mówiono także, że jeden z Ukraińców, zajętych przy mordowaniu Żydów, opowiadał co się dzieje w Belżcu swojej przyjaciółce, która przerażona uważała za swój obowiązek rozpowieścić to i przestrzec skazańców. Tymi drogami dotarły do nas wiadomości o Belżcu.

Legenda o Belżcu stała się więc prawdą, o której wiedzieliśmy i przed którą drżeliśmy z lęku. Toteż na ulicach dzielnicy żydowskiej, już szereg dni przed 10-tym sierpnia, kręcili

się bezzradnie wystraszeni ludzie i pytali jedni drugich: „co robić? co robić?”

Aż dnia 10 sierpnia wczesnym rankiem otoczyły strażę wszystkich wyloty ulic dzielnicy. Gestapo, SS, Sonderdienst po pięciu lub sześciu, co parę kroków krążyło po ulicach.

Pomagali im bardzo milicjanci ukraińscy. Już dwa tygodnie przedtem wydawał generalmajor Katzman, główny zbir Lwowa i wschodniej Małopolski, pieczątki dla niektórych placówek pracy. Niektóre placówki otrzymywały także pieczątki w komisariacie przy placu Smolki. Takich „szczęśliwców” nie było wielu. Większość w śmiertelnym lęku szukała jakiegoś ocalenia, ukrycia się, ucieczki, a właściwie nikt nie wiedział, co robić i jak się ratować.

Tymczasem przez parę dni patrole przeszukiwały dom za domem, kąt za kątem; niektórym gestapowcy uznawali pieczątki, innym nie; tych, którzy pieczętek nie mieli i tych, którym nie chciano ich uznać, wyganiali przemocą z domów, nie pozwalali zabrać ze sobą ani strzępka ubrania, ani kromki chleba. Następnie zganiłi gromady ludzi, a kto się opierał — dostawał kulę w głowę; ja byłem w moim warsztacie, pracowałem, ale nie miałem pieczątki, toteż zamknąłem się na klucz i nie odzywałem się, chociaż słyszałem, że się dobijają. Gestapowcy wylamali drzwi, znaleźli mnie w jakimś schowku, zbili pejcem po głowie i zabrali. Wpakowali nas wszystkich na lory tramwajowe, załadowali ciasno tak, że nie można było się ruszać ani odetchnąć i zawieźli nas do obozu Janowskiego.

Było to już wieczorem. Na dużej łące skupiono nas razem w zamkniętym kole. Było nas sześć tysięcy. Rozkazano nam siedzieć i nie wolno było wstać, nie wolno było się poruszyć, ani wyciągnąć ręki czy nogi. Z jakiejś wieży puszczono na nas reflektor; jasno było jak w dzień, a otoczeni uzbrojonymi zbirami, siedzieliśmy nieprawdopodobnie stłoczeni, wszyscy razem, młodzi i starzy, kobiety i dzieci w różnym wieku. Oddano parę celnych strzałów; ktoś wstał, może chciał, żeby go zastrzelono.

Tak przesiedzieliśmy całą noc. Była śmiertelna cisza. Ani dzieci, ani kobiety nie płakały. O godzinie szóstej rano kazano nam zerwać się z wilgotnej trawy, ustawić się czwórkami i długi szereg skazańców pomaszerował na dworzec Kleparowski. Gęstym sznurem otoczyli nas gestapowcy i Ukraińcy. Ani jeden człowiek nie mógł uciec. Zagnali nas na dworzec do rampy. Tuż za rampą czekał już długi pociąg towarowy. Było tam pięćdziesiąt wagonów. Zaczęło się ładowanie do pociagu. Rozsunięto drzwi wagonów, po obu stronach stali gestapowcy, po dwóch z każdej strony, w rękach pejce i każdego wchodzącego bili po twarzy i po głowie. Bili wszyscy gestapowcy. Każdy z nas miał pręgi na twarzy, guzy na głowie. Kobiety szlochwały, dzieci przytulone do matek płakały. Były między nami matki z dziećmi przy piersi. Popędzani przez gestapowców, którzy bili bez miłosierdzia, tłoczył się jeden na drugiego. Wejście było wysokie, trzeba było wspinać się, jeden strącał drugiego — zresztą spieszyliśmy się sami, chcieliśmy już mieć wszystko za sobą. Na dachu każdego wagonu siedział gestapowiec z karabinem maszynowym. Gestapowcy bili i i odliczali po stu do każdego wagonu. Wszystko to odbywało się tak szybko, że ładowanie kilku tysięcy ludzi nie trwało dłużej niż godzinę.

W naszym transporcie było wielu mężczyzn, także pracujących, z różnego rodzaju zaświadczeniami pracy, rzekomo „pewnymi”, małeńkie i większe dzieci, młode dziewczęta i starsze kobiety.

Zaplombowali wreszcie wagony. Ściśnięci w jedną gromadę drżących ludzi, staliśmy ciasno, niemal jeden na drugim. Duszo, gorąco, byliśmy bliscy obłędu. Ani kropli wody, ani kruszyny chleba. O ósmej rano ruszył pociąg. Wiedziałem, że na lokomotywie palacz i maszynista to są Niemcy. Pociąg jechał prędko, nam jednak zdawało się, że bardzo powoli. Trzy razy pociąg zatrzymał się: w Kulikowie, w Żółkwi, w Rawie Ruskiej. Prawdopodobnie przystanki potrzebne były dla regulowania ruchu kolejowego. Podczas przystanków gestapowcy

schodzili z dachów wagonów i nie dopuszczali nikogo do pociągu. Nie dopuszczali odrobiny wody, którą ludzie z litości chcieli podać przez małe zakratowane okienko mdlejącym z pragnienia.

Jechaliśmy dalej, nikt nie odzywał się słowem. Byliśmy świadomi, że jedziemy na śmierć, że nie ma dla nas ratunku; apatyczni, bez jednego jęku. Wszyscy myśleliśmy o jednym: jak uciekać; ale nie było możliwości. Wagon, w którym jechaliśmy, był całkiem nowy, okienko tak wąskie, że nie mogłem się przez nie przecisnąć. W innych wagonach zapewne można było wyważyć drzwi, bo co parę minut słyszeliśmy strzały w ślad za uciekającymi. Nikt do nikogo nic nie mówił, nikt nie pocieszał lamentujących kobiet, nikt nie przeszkadzał dzieciom szlochać. Wszyscy wiedzieliśmy: jedziemy na pewną i straszną śmierć. Życzyliśmy sobie, żeby się to już skończyło. Może się ktoś uratował, nie wiem... Można było próbować ucieczki tylko z pociągu.

Okolo południa pociąg wjechał na stację Belzec. Była to mała stacyjka. Dookoła niej stały domki. W tych domkach mieszkali gestapowcy. Belzec leży na linii Lublin, Tomaszów. Od Rawy Ruskiej jest oddalony o 15 km. Na stacji Belzec pociąg wycofano z głównego toru i wtoczono na tor boczny, który biegł jeszcze kilometr drogi, wprost w bramę obozu śmierci. Obok stacji mieszkali też kolejarze ukraińscy i stał tam mały budynek pocztowy. W Belczu na maszynę wchodził stary Niemiec, z grubym i czarnym wąsem — nie wiem, jak się nazywał, ale poznałbym go od razu — wyglądał jak kał; ten obejmował komendę nad pociągami i wprowadzał go aż pod obóz. Droga do obozu trwała dwie minuty. Przez całe cztery miesiące widziałem zawsze tego samego bandytę.

Bocznicą toru biegła polami. Z obu stron była całkiem wolna przestrzeń, ani jednego zabudowania. Niemiec, który wprowadził pociąg do obozu, schodził z maszyny. „Pomagał”. Bijąc i krzycząc, wypędzał ludzi z pociągu. Sam wchodził do każdego wagonu i kontrolował czy ktoś tam nie został. Wie-

dział o wszystkim. Kiedy pociąg był pusty i skontrolowany, dawał znak chorągiewką i wyprowadzał go z obozu.

Cały ten teren od Belzca był zajęty przez SS. Nikomu nie wolno było się pokazywać. Strzelano zabłąkanych cywilów. Pociąg zajeżdżał na dziedziniec, który miał około jeden kilometr wzdłuż i szerz, ogrodzony drutem kolczastym i siatkami żelaznymi, złożonymi jedne na drugich, wysokości dwóch metrów. Druty nie były naelektryzowane. Na dziedziniec wjeżdżało się przez szeroką bramę z drzewa, pokrytą drutami kolczastymi. Obok bramy stała budka, w której siedziała warta przy telefonie. Przed budką stało kilku SS-manów z psami. Gdy pociąg wjeżdżał w bramę, wartownik zamykał ją i wchodził do budki. W tej chwili następowało „odbieranie pociągu”. Kilku dziesięciu SS-owców otwierało wagony z wrzaskiem: „los!”. Pejczami i kolbami wyganiaли ludzi z wagonów. Wagony miały drzwi umieszczone wyżej metra ponad ziemią. Wyganiani pod batem musieli zeskakiwać, wszyscy, starzy i młodzi. Łamali przy tym ręce i nogi, musiano skakać na ziemię. Dzieci kaleczyły się, wszystko padało, brudne, wycieńczone, przerażone. Obok SS-owców pełnili służbę t. zw. „Zugsführerzy”. Byli to nadzorcy żydowskiej stałej załogi śmierci w obozie, ubrani zwyczajnie bez obozowych oznak. Chorych, starych i małeńkie dzieci, zatem tych, co nie mogli chodzić o własnych siłach, kładziono na nosze i sadzano na brzeg wykopanych, olbrzymich grobów. Tam gestapowiec Irrman strzelał ich, po czym kolbą strącał w grób. Ten sam Irrman specjalista od wykańczania starców i małych dzieci, wysoki gestapowiec, przystojny brunet o normalnym wyrazie twarzy, mieszkał, podobnie jak inni, w Belczu obok stacji, w domku, całkiem sam i — podobnie jak inni — bez rodziny i bez kobiet.

Wczesnym rankiem zjawiał się w obozie, pozostawał tam cały dzień i odbierał transporty śmierci. Zaraz po wyladowaniu ofiar z pociągu, zgromadzono je na dziedzińcu otoczonym uzbrojonymi askarami i tu Irrman przemawiał. Była śmiertelna cisza. Stawał blisko tłumy. Każdy chciał słyszeć, nadzieja na-

gle w nas powstała -- „jeśli do nas przemawiają, może będziemy żyć, może będzie jakaś praca, może jednak”...

Irmann mówił bardzo głośno i wyraźnie. — „Ihr gehts jetzt baden, nachher werdet ihr zur Arbeit geschickt”. To wszystko. Wszyscy cieszyli się, byli szczęśliwi, że jednak idą do robót. Bili brawa. Pamiętam te jego słowa powtarzane dzień w dzień, przeważnie trzy razy dziennie, powtarzane przez cztery miesiące mojego tam pobytu. To była chwila nadziei i złudzenia. Ludzie oddychali przez chwilę z ulgą. Był zupełny spokój. W ciszy cały tłum szedł dalej, mężczyźni wprost dziedzińcem do budynku, na którym dużymi literami było napisane: „Bade und Inhalationsräume”. — Kobiety szły jeszcze jakieś 20 mtr. do dużego baraku, wielkości trzydziestu metrów na piętnaście. W tym baraku golono włosy kobietom i dziewczynkom. Wchodziły, nie wiedząc po co się je tam prowadzi. Jeszcze była chwila spokoju i ciszy. Wiedziałem później, że zaledwie kilka minut potem w chwili gdy podano im drewniane laborety i ustawiono w poprzek baraku, gdy kazano im usiąść i ośmiu żydowskich fryzjerów, milczących jak grób automatów, zbliżyło się, by ogolić im włosy maszynką do samej skóry, w tej chwili dotarła do ich świadomości cała prawda i żadna z nich i żaden z mężczyzn w drodze do komór nie mógł już mieć wątpliwości.

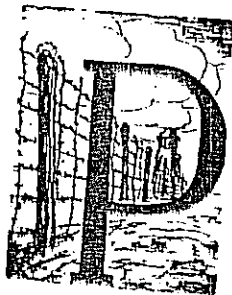
Wszyscy, poza kilkoma mężczyznami, których wybrano jako fachowców tam koniecznych, — wszyscy — i młodzi i starzy i dzieci i kobiety, — wszystko szło na pewną śmierć. Dziewczynki z dłuższymi włosami zapędzono do golenia włosów, małe dziewczynki z małymi włosami szły razem z mężczyznami wprost do komory.

Nagle — bez przejścia od nadziei do ostatecznej rozpaczy — powstały lamenty, krzyki, — wiele kobiet dostawało ataku szalu. Wiele jednak kobiet szło na śmierć z zimną krwią, zwłaszcza młode dziewczęta. Było w naszym transporcie tysiące inteligentów, dużo młodych mężczyzn i — jak w każdym późniejszym transporcie — większość kobiet.

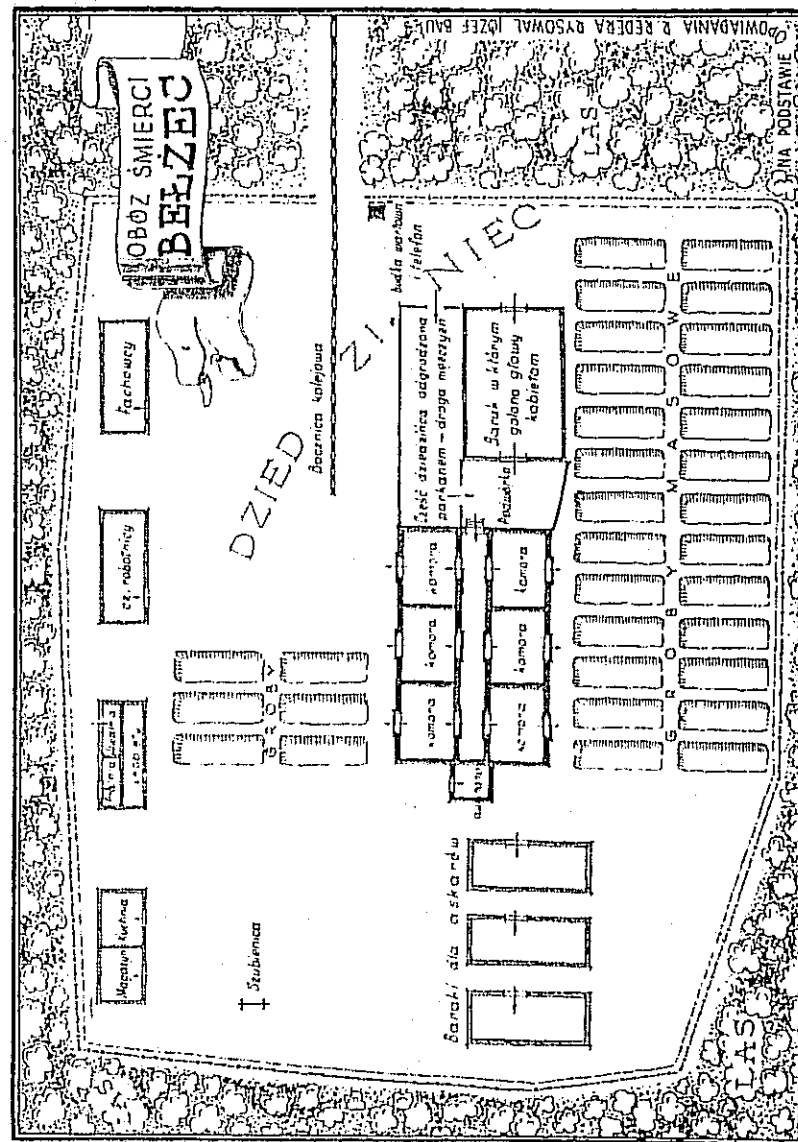
Stałem z boku, na dziedzińcu, wraz z grupką pozostawionych do kopania grobów i patrzyłem na moich braci, siostry, znajomych i przyjaciół popędzanych na śmierć. Z chwilą, gdy kobiety gnano, nagie, ogolone, biczem jak bydło na rzeź, bez liczenia, szybko, szybko, — mężczyźni ginęli już w komorach. Golenie kobiet trwało mniej więcej dwie godziny, tak długo też trwały przygotowania do mordu i sam mord.

Kilkunastu SS-manów gnało pejcami i ostrymi bagnetami kobiety, aż do budynku komory przez trzy schodki do sieni, a askarzy odliczali po 750 osób do każdej komory. Kobietom, które wzbierały się wejść askarzy wbijali w ciała bagnety, krew się lała i w ten sposób wpędzali je do kaźni. Słyszałem zasuwanie drzwi, jęki i krzyki, słyszałem rozpaczliwe wołania, po polsku, po żydowsku, mrozące krew lamenty dzieci i kobiet, a potem jeden wspólny przeraźliwy krzyk... Trwało to piętnaście minut — dwadzieścia minut szła maszyna, a po dwudziestu minutach było cichutko, drzwi rozsuwali askarzy po zewnętrznej stronie, a ja wraz z innymi robotnikami, tak jak ja pozostawionymi z poprzednich transportów, bez żadnych oznak i bez tatuażu zaczęliśmy pracę.

Ciągnęliśmy trupy ludzi jeszcze niedawno żywych, ciągnęliśmy je za pomocą pasków skórzanych do przygotowanych, olbrzymich masowych grobów, a orkiestra przy tym grała, grała od rana do wieczora...



Po pewnym czasie znalazłem już dobrze cały teren. Położony był wśród młodego sosnowego lasu. Zalesienie było gęste i ażeby jeszcze zmniejszyć przedostawanie się światła, — przywiązywano do drzew inne drzewa i w ten sposób podwojono gęstość zalesienia ponad miejscem, gdzie były komory. Za nimi piaszczysta droga, którą wlokło się trupy. Niemcy rozpięli nad nią dach, zrobiony z gładkiego drutu, na którym rozłożono zieleni. Chodziło o zabezpieczenie terenu przed obserwowaniem z samolotów. Ta część obozu pod dachem z liści była przyciemniona. Od bramy wchodziło się na ogromny dziedziniec. Na dziedzińcu stał duży barak, w którym golono włosy kobietom. Obok baraku było małe podwórko, ogrodzone parkanem zbitym ściśle z desek, bez najmniejszej szpary, na trzy metry wysokim. Parkan ten zrobiony z szarych desek prowadził aż do samej komory. W ten sposób nikt nie widział co się poza płotem dzieje. Budynek, w którym się mieściły komory był niewysoki, długi i szeroki, z szarego betonu, miał płaski dach kryty papą, a nad nim jeszcze jeden dach z siatki, pokryty zielenią. Z podwórka prowadziły do niego trzy schodki, szerokie na jeden metr, bez poręczy. Z frontu budynku zamieszczony był duży wazon z różnokolorowymi kwiatami. Na ścianie wypisano czytelnie i wyraźnie: „Bade und Inhalationsräume”. Schodkami wchodziło się do ciemnego korytarza, szerokiego



na półtora metra, zało bardzo długiego. Był całkiem pusty, cztery betonowe ściany. Z korytarza prowadziły z lewej i prawej strony drzwi do komór. Drzwi, zrobione z drzewa, szerokie na metr, rozsuwały się za pomocą drewnianego chwytu. Komory były zupełnie ciemne, bez okien i całkiem puste. W każdej komorze widoczny był okrągły otwór, wielkości kontaktu elektrycznego. Ściany i podłogi komory były z betonu. Korytarz i komory były niższe niż normalne pokoje, miały nie więcej niż dwa metry wysokości. Na przeciwległej ścianie każdej komory były drzwi również do przesuwania, szerokie na dwa metry, którymi wyrzucano po uduszeniu zwłoki ludzi. Z zewnątrz budynku była niewielka przybudówka, miała może dwa metry na dwa, w której znajdowała się „maszyna”, motor pędzony benzyną. Komory były półtora metra powyżej ziemi, rampa u drzwi na równym poziomie z komorą, z której wyrzucano trupy na ziemię.

W obozie znajdowały się dwa baraki dla załogi śmierci; jeden dla robotników ogólnych, drugi dla t. zw. fachowców. Każdy barak mieścił dwustu pięćdziesięciu robotników. Prycze były dwupiętrowe. Oba baraki były takie same. Prycze były to gołe deski i mała skośna deska pod głową. Niedaleko baraków były kuchnie, dalej magazyn, administracja, pralnia, szwalnia, w końcu eleganckie baraki dla askarów.

Z jednej i drugiej strony budynku z komorami gazowymi, były pełne lub puste groby. Widziałem cały szereg grobów już pełnych i zasypanych wysoko piaskiem. Po jakimś czasie dopiero opadały do niższego poziomu. Zawsze musiał być jeden pusty grób rezerwowo...



d sierpnia do końca listopada 1942 roku, przebywałem w obozie śmierci, — był to okres masowego duszenia Żydów. Opowiadali mi nieliczni towarzysze niedoli, nieliczni którym udało się być tam dłużej, że w tym okresie było najwięcej transportów śmierci. Przychodziły codziennie, bez jednego dnia przerwy, przeważnie trzy razy dziennie, a każdy pociąg liczył pięćdziesiąt wagonów, zaś każdy wagon mieścił stu ludzi. Kiedy nocą przyjeżdżały transporty, ofiary Bełżca czekały w zamkniętych wagonach do godziny szóstej rano. Przeciętnie uśmiercano dziennie dziesięć tysięcy ludzi.

Bywało, że transporty były jeszcze większe i częstsze. Przyjeżdżali Żydzi zewsząd i tylko Żydzi. Nigdy nie było żadnego innego transportu. Bełzec służył wyłącznie do uśmiercania Żydów. Przy wagonach Żydów wyladowywali gestapowcy, askarzy i „Zugsführerzy”; parę kroków dalej na dziedzińcu przy rozbieraniu byli już także robotnicy żydowscy, — szeptem się pytali: Skąd jesteście? Szeptem odpowiadano im: Ze Lwowa, z Krakowa, z Zamościa, z Wieliczki, Jasła, Tarnowa i t. d. Widziałem to co dzień, dwa, trzy razy dziennie.

Z każdym transportem działo się to samo, co z moim. Kazano się rozebrać, rzeczy zostawiano na dziedzińcu, zawsze przemawiał obludnie Irrman i zawsze to samo. Zawsze ludzie cieszyli się w tej chwili, widziałem tę samą iskrę nadziei

w oczach ludzi. Nadzieję, że idą do pracy. Ale chwilę potem odrywano maleństwa od matek, starców i chorych rzucono na nosze, mężczyzn i małe dziewczynki zapędzano kolbami dalej i dalej na ścieżkę oparkanioną wprost do komory, a nagie kobiety skierowano równie brutalnie do drugiego baraku, gdzie golono im włosy. Wiedziałem dokładnie, w której to chwili pojęli wszyscy, co ich czeka i strach, rozpacz, krzyki i straszne jęki, mieszały się z tonami orkiestry. Mężczyźni pierwsi spędzeni bagnietami, pokłuci biegli do komór gazowych. 750 osób odliczali askarzy do każdej komory. Toteż zanim napelnili wszystkie sześć komór, ludzie w pierwszej komorze męczyli się już dwie godziny. Dopiero gdy wszystkie sześć były zapchane ludźmi tak ciasno, że z trudnością drzwi zamknęło, puszczano maszynę w ruch.

Maszyna była duża półtora metra na metr; był to motor i koła. Motor warczał w większych odstępach czasu, szedł dość szybko, tak szybko, że nie można było rozpoznać szprych w kołach. Maszyna szła na zegarku dwadzieścia minut. Po dwudziestu minutach zamykano ją. Od razu otwierano drzwi komór od strony zewnętrznej, które prowadziły na rampę i wyrzucano na ziemię trupy, z których powstawał olbrzymi, na kilka metrów kopiec zwłok. Askarzy przy otwieraniu drzwi nie zachowywali żadnej ostrożności, nie czuliśmy żadnego zapachu, nie widziałem nigdy żadnych balonów z gazem, ani żadnych domieszek, któreby wsypywano, — widziałem tylko kanistry benzyny. Benzyny zużywano dziennie około osiemdziesięciu do stu litrów. Przy maszynie zajęci byli dwaj askarzy. Ale kiedy raz zepsuła się maszyna zawołano i mnie, ponieważ nazywano mnie „der Ofenkünstler”; obejrzałem ją i widziałem rurki szklane, które łączyły się z rurami prowadzonymi do każdej komory. Byliśmy zdania, że maszyna albo wytwarzała wysokie ciśnienie, albo powodowała próżnię, albo benzyna produkowała tlenek węgla, który zabijał ludzi. Wołanie o pomoc, krzyki, rozpaczliwe jęki zamkniętych i duszonych w komorach, trwały dziesięć do piętnastu minut, przeraźliwie głośnie, póź-

niej jęki stawały się cichsze, w końcu wszystko ucichło. Słyszałem rozpaczliwe krzyki i wołania w różnych językach, bo nie tylko byli sami polscy Żydzi, były też transporty Żydów obcych. Wśród obcych transportów najwięcej było Żydów francuskich, byli też holenderscy, greccy, nawet norwescy. Nie pamiętam transportu Żydów niemieckich. Byli natomiast Żydzi czescy. Przyjeżdżali w takich samych wagonach, jak polskie transporty Żydów, ale z bagażem, wyekwipowani porządnie i zaprowiantowani. Nasze transporty pełne były kobiet i dzieci. Transporty Żydów obcych były w większej mierze męskie i mało było dzieci. Widocznie rodzice mogli je zostawić pod opieką swoich współrodaków i ochronić przed okrutnym losem. Żydzi z obcych krajów przyjeżdżali w zupełnej nieświadomości do Bełżca, pewni, że czeka ich praca. Ubrani kulturalnie, starannie przygotowani do drogi. Odnoszenie się niemieckich zbirów do tych ludzi, było takie samo jak do Żydów innych transportów i taki sam też system mordy. Ginęą tak samo okrutnie i rozpaczliwie.

Za mojego pobytu w obozie, mogło być ze sto tysięcy Żydów zagranicznych; wszyscy zostali zagazowani.

Kiedy po dwudziestominutowym duszeniu odsunęli askarzy zasunięte szczelnie drzwi, trupy były w pozycji stojącej, twarze jakby we śnie, niezmienione, nie sine, krew tu i ówdzie z ran kłutych bagnietami askarów, usta trochę otwarte, ręce skurczone, często ściśnięte wokoło płuc. Bliżej stojące wypadały same jak kukły, przez szeroko otwarte drzwi.



Wszystkie kobiety golono przed zamordowaniem. Zagnano je do baraku, reszta kobiet czekała na swoją kolejkę przed barakiem nago, boso, nawet w zimie i na śniegu. Placz i rozpacz panowała wśród kobiet. W tej chwili zaczynały się krzyki i lamenty, matki przyciskały do siebie dzieci, odchodziły od zmysłów. Serce mi się krajało za każdym razem, nie mogłem znieść tego widoku. Partię ogolonych kobiet pędziło się dalej, a inne stąpały po włosach różnego koloru, którymi zasłaty, jakby puszystym i wysokim dywanem całą podłogę baraku. Kiedy już wszystkie kobiety z transportu ogolono, czterech robotników, miotłami zrobionymi z lipy, zmiatało i gromadziło wszystkie włosy na jeden wielki stos różnokolorowych włosów, wysoki na pół pokoju, rękami ładowali je do worków z juty i oddawali do magazynu.

Magazyn na włosy, na bieliznę, ubrania ofiar komory gazowej, mieścił się w osobnym niewielkim baraku, miał może siedem na ośm metrów. Tam zbierano rzeczy i włosy przez dziesięć dni, a po dziesięciu dniach ładowano osobno worki z włosami i osobno worki z ubraniami, po czym zajeżdżał pociąg towarowy i zabierał te łupy. Ludzie, którzy pracowali w biurze, opowiadali, że włosy były kierowane do Budapesztu. Zwłaszcza jeden Żyd sudecki, adwokat Schreiber pracownik biura udzielał tych wiadomości. Był to porządny człowiek.

Irrman obiecał mi, że go zabierze jak pojedzie na urlop. Pewnego razu Irrman wyjechał na krótki urlop. Słyszałem jak Schreiber pyta się go - „Nehmen sie mich mit?”. A Irrman mu odpowiedział - „Noch nicht”. W ten sposób go oszukiwał i Schreiber z całą pewnością zginął jak wszyscy inni. Ten sam opowiadał mi, że co kilka dni wysyła się cały wagon worków z włosami, adresowany do Budapesztu. Oprócz włosów Niemcy odprowadzali całe kosze złotych zębów.

W drodze prowadzącej od komory gazowej do grobów, a więc na przestrzeni kilkuset metrów, stało kilku dentystów z obciążkami i zatrzymywali każdego ciągnącego trupy; otwierali usta zmarłego, patrzyli w nie i wyciągali złoto, po czym wrzucali je do kosza. Dentystów było ośmiu. Byli to naogół ludzie młodzi, pozostawieni z transportów dla spełnienia tej roboty. Jednego z nich znałem bliżej, nazywał się Zucker, pochodził z Rzeszowa. Dentyści zajmowali osobny mały barak, wraz z lekarzem i aptekarzem. O zmroku przynosili oni całe kosze złotych zębów do baraku i tam oddzielali złoto i przetapiali na sztabki. Pilnował ich gestapowiec Schmidt i bił kiedy robota szła zbyt powoli. Jeden transport musiał być gotów w ciągu dwóch godzin. Przetapiano zęby na sztabki jeden centymetr grube pół centymetra szerokie i 20 cm długie.

Co dzień z magazynu wybierano kosztowności, pieniądze, dolary, SS-mani sami to zbierali i dawali do waliz, które robotnik odnosił do Bełżca, do komendantury. Jeden z gestapowców siedł przed nim, a walizy nieśli robotnicy żydowscy. Niedaleko było na stację Bełżec, 20 minut drogi. Obóz w Bełżcu t. zn. kaźń w Bełżcu, podlegała tej komendanturze. Żydzi, którzy pracowali w administracji opowiadali, że cały transport złota, kosztowności i pieniędzy, wysyłany był do Lublina, gdzie przebywała główna komendantura, której podlegała komendantura w Bełżcu. Zdarte ubrania z nieszczęśliwych ofiar żydowskich, zabierali robotnicy i zanosili do magazynu. Tam było dziesięciu robotników, którzy musieli pruć każdą sztukę ubrania bardzo dokładnie, pod nadzorem i batem SS-manów,

którzy dzielili się między sobą znalezionymi pieniędzmi. Do tej kontroli byli przydzieleni specjaliści SS-mani i zawsze ci sami. Żydowskie robotnicy, którzy pracowali przy sortowaniu ubrań i praniu ich, nie mogli sobie niczego przywłaszczyć i nie chcieli. Cóż nam mogło zależeć na pieniądzach czy kosztownościach? Nie mogliśmy ani niczego kupić, ani nie mieliśmy żadnej nadziei utrzymania się przy życiu. Nikt z nas nie wierzył w cud. Każdy robotnik przeszukiwany był bardzo dokładnie ale często stąpaliśmy po dolarach porzuconych, których nie zanważono; nawet nie sięgaliśmy po nie. Było to bezcelowe i tak się z nich nic nie miało. Pewnego razu szewc jeden wziął sobie pięć dolarów umyślnie i jawnie. Zastrzelono jego i syna; szedł na śmierć zadowolony, chciał żeby się to już skończyło. Śmierć była pewna, poco się tak dłużej męczyć... Dolary w Bełżcu służyły nam, aby łatwiej umierać...



ależalem do stałej załogi śmierci, było nas wszystkich razem pięciuset. „Fachowców” tylko dwustu pięćdziesięciu, ale i z tych dwustu pracowało przy robocie, do której nie trzeba było specjalistów: przy kopaniu grobów i wleczeniu trupów. Kopaliśmy doły i olbrzymie groby masowe i ciągnęliśmy trupy. Także fachowcy poza wykonywaniem swej pracy, musieli w tym brać udział. Kopaliśmy łopatami, była też maszyna, która ładowała i wyciągała ponad ziemię piasek. Maszyna wyrzucała piasek obok grobu. Tworzyła się góra z piasku, którą przykrywano przepelniony trupami grób. Przy grobach było zajętych stale około czterystu pięćdziesięciu ludzi. Wykopanie jednego grobu trwało tydzień. Najstraszniejsze dla mnie było to, że kazali kłaść trupy metr powyżej już pełnego grobu i przysypać piaskiem, a czarna, gęsta krew wydobywała się z grobów i jak morze zalewała całą powierzchnię. My musieliśmy przechodzić z jednego brzegu mogiły na drugi, by dostać się do drugiego grobu. Nurzaliśmy nasze nogi w krwi naszych braci, stąpaliśmy po kopcach trupów i to było najgorsze, najokropniejsze...

Pilnował nas przy robocie zbior Schmidt, bił, kopał. Jeśli ktoś nie pracował — jego zdaniem — dość prędko, kazał mu się położyć, dawał mu dwadzieścia pięć cięgów szpicrutą, kazał mu liczyć, a jeśli się pomylił, zamiast dwudziestu pięciu da-

wał mu pięćdziesiąt. Skalowany człowiek nie mógł wytrzymać pięćdziesięciu razów; ofiara zazwyczaj dowlokła się do baraku i nązajutrz konała. To powtarzało się parę razy na dzień.

Codziennie też rozstrzeliwno trzydziestu do czterdziestu robotników. Zazwyczaj lekarz podawał listę wycieńczonych, albo t. zw. Oberzugsführer, główny dozorca więźniów, listę „przestępców” tak, aby codziennie zginęło trzydziestu, czterdziestu więźniów. W godzinie obiadowej prowadzono ich nad grób i strzelano. Codziennie też uzupełniano tę listę, taką samą ilością ludzi pozostawionych z kilku transportów dziennie. W biurze administracyjnym prowadzono tylko ewidencję, — robotników dawnych i nowych — i obliczano, by liczba więźniów wynosiła zawsze pięćuset. Ewidencji liczbowej transportów ofiar nie prowadzono.

Wiedzieliśmy na przykład, że Żydzi budowali ten obóz i stawiali maszynę śmierci. Ani jednego już nie było z tej brygady. Było cudem jeśli ktoś w załodze Bełżca utrzymał się przez pięć lub sześć miesięcy.

Samą maszyną kierowali dwaj askarzy, bandyci, zawsze ci sami. Zastałem ich przy tej robocie i zostawiłem ich tam. Robotnicy żydowscy nie mieli z nimi żadnego kontaktu, tak samo z żadnym innym askarem. Kiedy ludzie z transportu błagali o odrobinę wody, askarzy strzelali robotników żydowskich za podanie im jej.

Oprócz kopania grobów zadaniem załogi śmierci było wyciągać zwłoki z komór, rzucać je na wysoki stos, a później wleźć aż do grobów. Grunt był piaszczysty. Jedne zwłoki musieli ciągnąć dwaj robotnicy. Mieliśmy skórzane paski ze sprzączką, które zakładaliśmy na ręce trupa, głowa często wrzynała się w piasek i ciągnęliśmy... Zwłoki małych dzieci kazano nam zarzucać po dwoje na barki i tak przenosić. Kiedy ciągnęliśmy trupy, przerywaliśmy kopanie grobów. Gdy kopaliśmy groby, wiedzieliśmy, że w komorach dusi się tysiące naszych braci. Tak musieliśmy pracować od wczesnego ranka do zmroku.

Zmrok kończył dzień pracy, bo ta „praca” odbywała się tylko przy dziennym świetle.

Już o godzinie wpół do czwartej rano askar-posten, który obchodził barak w nocy, walił w drzwi i krzyczał: „Auf! Heraus!” Zanim jeszcze mogliśmy wstać, wpadał zbir Schmidt i szpicrutą wyganiał z baraku. Wybiegaliśmy z jednym butem w rękę lub boso. Przeważnie nie rozbieraliśmy się, kładliśmy się nawet w butach, bo rano nie mogliśmy zdążyć się ubrać.

Rano było jeszcze ciemno, kiedy nas budzono; świecić nie było wolno. Schmidt latał po baraku i bił w prawo i w lewo. Wstawaliśmy tak samo nieszczęśliwi, wymęczeni do ostateczności, jak kiedy kładliśmy się spać. Dostaliśmy po jednym cienkim kocyku, mogliśmy się nim albo przykryć, albo sobie podłożyć na pryczę. W magazynie wybierano dla nas stare, wytarte szmaty; — kiedy tylko ktoś westchnął, dostawał w twarz.

Wieczorem świeciło się światło pół godziny; później je gaszono. „Oberzugsführer” krążył po baraku z pejcem i nie pozwalał rozmawiać. Mówiliśmy z sąsiadami cichutko.

Zaloga składała się przeważnie z ludzi, którym zagazowano żony, dzieci, rodziców. Wielu zdobyło „tales” i „tfilim” z magazynu, a kiedy zaryglowano barak na noc, słyszeliśmy na pryczach szmer modlitwy „ka’disz”. Odmawialiśmy modlitwę za umarłych. Później była cisza. Nie skarżyliśmy się, byliśmy całkiem zrezygnowani. Może tych piętnastu „zugsführerów” łudziło się jeszcze; my nie.

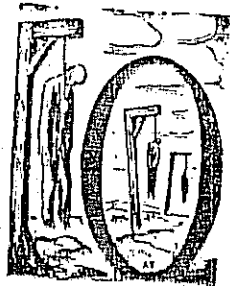
Poruszaliśmy się wszyscy jak ludzie, którzy już nie mają woli. Byliśmy jedną masą. Znam trochę nazwisk, ale mało. To było też bez znaczenia, kim kto był i jak się nazywał. Wiem, że lekarzem był młody doktor spod Przemyśla, nazywał się Jakubowicz. Znałem też kupca z Krakowa Schlüssla i jego syna, Żyda czeskiego Ellbogena, który podobno miał skład rowerów, kucharza Goldschmidta, znanego z karlsbadzkiej restauracji „Brüder Hanicka”. Nikt nie interesował się drugimi, mechanicznie odrabialiśmy to straszne życie.

O godzinie dwunastej dostawaliśmy obiad — mijaliśmy dwa okienka, przy jednym dostawaliśmy garnek, przy drugim pół litra pęczakowej zupy t. j. wody, czasem z kartoflami. Przed obiadem musieliśmy śpiewać pieśni — przed wieczorną kawą również musieliśmy śpiewać. — Równocześnie w komorach słyszano śląski dźwięk, orkiestra grała, naprzeciw kuchni stała wysoka szubienica...



Wycie SS-mannów w Belżcu i w samej kaźni biegło bez udziału kobiet. Nawet pijatyki były czysto męskie. Wszystkie roboty wykonywali mężczyźni. Tak było aż do października. W październiku przybył z Zamościa transport czeskich Żydówek. Było to kilkadziesiąt kobiet, których mężowie pracowali w załodze śmierci. Zapadło postanowienie, by z tego ostatniego transportu zatrzymać kilkadziesiąt kobiet. Czterdzieści przeznaczono do pracy w kuchni, w pralni i szwalni. Nie wolno im było widywać się z mężczyznami. W kuchni obierały kartofle, myły garnki, nosiły wodę. Nie wiem, co się z nimi stało. Zapewne podzieliły los wszystkich. Były to same kobiety z inteligencji. Przyjechały z bagażami. Niektóre miały kawałek masła ze sobą. Dały nam co miały. I pomagały, jeśli ktoś pracował w kuchni, czy w pobliżu kuchni. Mieszkały w małym osobnym baraku, miały nad sobą „Zugsführerkę”. Przy pracy widziałem (naprawiałem wszędzie piece i kręciłem ślą po całym obozie) jak kobiety te ze sobą rozmawiały. Nie były one tak katowane jak my. Praca ich kończyła się ze zmierzchem, ustawiały się dwójkami po zupę i kawę. Podobnie jak nam, nie zabrano im własnych ubrań, nie dano żadnego posłaka. Nie opłacało się na tak krótki czas zaprowadzać jednolitego ubioru.

Wprośli z wagonów, ubrane i z głową nieogoloną, skierowano je do warsztatów pracy i do kuchni. Przez okna kuchni i szwalni patrzyły codziennie na przybywające transporty śmierci...



bóz śmierci dyszał masowym mordem dzień w dzień. Był to dzień powszedni masowego lęku śmiertelnego i masowego mordu. Ale prócz tego były zdarzenia pojedyncze osobistego kałowania. Przeżyłem i widziałem także to. W Bełcu apelu nie było nigdy. Nie było potrzeby. Widowiska grozy odbywano bez zbiorowej zapowiedzi.

Muszę opowiedzieć o transporcie z Zamościa. Było to około 15-go listopada. Było już zimno, śnieg i błoto leżały na ziemi. W takiej zawiei nadszedł, jak jeden z wielu, duży transport z Zamościa. W transporcie był cały Judenrat. Kiedy wszyscy stali już nago, zwykłą kolejką zdarzeń, pognali mężczyzn do komór, kobiety do baraku golenia włosów. Prezesowi Judenratu kazano zostać na dziedzińcu. Askarzy pognali transport na stracenie, a cała parada SS-mannów stanęła dookoła prezesa Judenratu. Nie wiem, jak się nazywał, widziałem człowieka w średnim wieku, bladego jak trup i zupełnie spokojnego.

SS-manni rozkazali orkiestrze przenieść się na dziedziniec i czekać zleceń. — Orkiestra, składająca się z sześciu muzykantów, grała zazwyczaj na przestrzeni między komorą gazową a grobami. Grała bez przerwy na instrumentach, zdobytych po wymordowanych. Pracowałem wtedy w pobliżu przy jakiejś murarskiej robocie i widziałem ich wszystkich. SS-manni kazali wygrywać orkiestrze melodię „es geht alles vorüber,

es geht alles vorbei“ — „drei Lilien, kommt ein Reiter gefahren, bricht die Lilien“ — wygrywali na skrzypcach, fletach i harmonii. Trwało to jakiś czas. Potem postawili prezesa Judenratu z Zamościa pod ścianą i bili go do krwi szpicrutami, zakończonymi ołowiem, przede wszystkim w głowę i twarz. Kałowali: Irrman, gruby gestapowiec Schwarz, Schmidt i kilku askarów. Ofierze tej kazano tańczyć i skakać wśród bicia i muzyki. Po kilku godzinach przyniesiono mu ćwiartkę chleba i biciem zmuszono go do zjedzenia. Stał, zalany krwią, obojętny, poważny, nie słyszałem jednego jęku. Siedem godzin trwały męczarnie tego człowieka. SS-mani stali i śmiali się: „das ist eine höhere Person, Präsident des Judenrates“ — wołali głośno i złojecko. Dopiero o szóstej wieczorem pognął go gestapowiec Schmidt na grób, strzelił mu w głowę i kopnął na stos zagazowanych zwłok.

Były też i inne zdarzenia poszczególne. Niedługo po moim przybyciu do Bełca wybrano między kilkoma innymi, z jednego transportu, nie wiem z jakiego miasta (nie zawsze wiedzieliśmy, skąd transport przybył), jednego młodzieńckiego chłopca. Był uosobieniem zdrowia, siły i młodości. Zadziwił nas swoją pogodą. Rozejrzał się i zapytał niemal wesoło: — Czy ktoś już stąd czmychnął? To wystarczyło. — Ktoś z Niemców posłyszał i zamęczono to prawie dziecko na śmierć. Rozegrali go, powiesili na szubienicy głowę na dół; wisiał trzy godziny. Był silny i jeszcze ciągle żył. Zdjęli go, położyli na piasku i patykami pchali mu piasek w gardło. Skonał.

Bywało, że przybywały transporty liczniejsze niż zwykle. Zdarzało się, że zamiast pięćdziesięciu wagonów, przyjeżdżało sześćdziesiąt i więcej. Niedługo przed moją ucieczką, w listopadzie, z takiego właśnie przeludnionego transportu, musiano zostawić stu ludzi, już zreszlą nagich, do roboty grzebania zwłok, ponieważ gestapowcy obliczyli, że stała załoga nie podoła w tak krótkim czasie tylu wyduszonych złożyć w groby. Zostawili samych młodych chłopców. Przez cały dzień ciągnęli oni trupy do grobów pod biczem, nie dano im kropli wody,

nago w śniegu i zimnie — wieczorem zaprowadził ich zbir Schmidt nad grób i strzelał ich browniingiem. Dla kilkunastu nie starczyło nabojów, więc sztyłem dżaganu zabijał jednego po drugim, aż do ostatniego. Nie słyszałem jęków, widziałem tylko, jak starali się w kolejce po śmierć jeden drugiego wyprzedzić, bezradne szczątki życia i młodości.



aly obóz był ustawicznie pod strażą kordonów uzbrojonych askarów i kilkudziesięciu SS-mannów. Ale czynni byli nieliczni. Niektórzy wybijali się na każdym kroku swoim szczególnym okrucieństwem. Same bestie. Tylko, że niektórzy mordowali i bili „na zimno”, a niektórzy cieszyli się, że mordują; twarz im się śmiała, widziałem, jak byli szczęśliwi, kiedy patrzyli na nagich i poklutyh bagnietem ludzi, zaganianych do komór.

Z przyjemnością patrzyli na zrozpaczone i zrezygnowane cienie przeważnie młodych ludzi. Wiedzieliśmy, że w najładniejszym domku obok stacji w Bełżcu mieszka główny komendant obozu. Był to Obersturmführer, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć, chociaż ciągle staram się odtworzyć to nazwisko w mojej pamięci; brzmiało ono krótko. Bywał w obozie dość rzadko, zjawiał się w związku z jakimś zdarzeniem. Był to zbir wysoki, barczysty, powyżej czterdziestu lat, o ordynarnym wyrazie twarzy — tak chyba wygląda urodzony bandyta. Było to skończone bydlę.

Pewnego razu uśmiercająca maszyna popsula się. Zawiadomiony o tym, przyjechał na koniu, nakazał naprawić maszynę i nie pozwolił wypuścić ludzi z dusznych komór; — niech się duszą i konają jeszcze parę godzin. Przykucnął z wściekłości, wrzeszczał i trząsł się cały. Chociaż rzadko się pokazywał, był postrachem dla SS-owców. Mieszkał sam, z or-

dyńszem askarem, który go obsługiwał. Codziennie askar zanosił mu raporty. Główny komendant i wielu gestapowców nie miało stałego kontaktu z obozem. Mieli oni własną stółkę i kucharza sprowadzonego z Niemiec, który gotował dla wszystkich Niemców. Nigdy nikt z rodzin nie przyjeżdżał, nikt z nich nie mieszkiał z kobietą. Chowali całe stada gęsi i kaczek. Ludzie opowiadali, że na wiosnę przysłano im całe kosze cereśni. Skrzynie wódek i win przywożono codziennie.

Naprawiałem tam piec. Były tam dwie młode Żydówki do skubania gęsi, rzuciły mi cebulę i jakiegoś buraka. Widziałem też wiejską dziewczynę, która tam pracowała poza tym sami ordynansi.

W każdą niedzielę wieczorem ściągali orkiestrę i urządzali pijacką zabawę. Gromadzili się tam sami gestapowcy, żarli i pili. Muzykantom rzucali resztki jedzenia. Kiedy komendant zjawiał się w obozie na parę minut, widziałem jak gestapowcy i askarzy trzęśli się ze strachu.

Poza nim rządzą gestapowcami, dozorowali i kierowali całą mordownią — czterej inni bandyci. Trudno wyobrazić sobie większych zbirów. Jeden z nich Fritz Irrman, człowiek około lat trzydziestu, Stabscharführer, gospodarz zaopatrzeniowy obozu, był specjalistą od strzelania dzieci i starców. Wykonywał wszystkie okrucieństwa z kamiennym spokojem, zachowywał się tajemniczo i milcząco, codziennie mówił do strażników, że idą do kąpieli i do pracy. Skrupulatny zbrodniarz.

Inaczej spełniał swoje okrucieństwa Oberscharführer Faix Reinhold. Pochodził podobno z Gablonz nad Nissą, był podobno żonaty, ojciec dwojga dzieci. Miał sposób mówienia człowieka inteligentnego. Mówił szybko. Gdy ktoś nie zrozumiał go od razu, bił, krzyczał w niebogłose jak wariat. Kiedy pewnego razu kazał malować kuchnię a robił to jeden żydowski doktor chemii, który stał akurat na szczycie drabiny pod samym sufitem, Faix kazał mu co chwilę schodzić z drabiny, bił go szpicrutą po twarzy, tak, że tamten był zalany krwią i spuchnięty. Tak pełnił swą pracę. Faix robił wrażenie nienormalnego.

Grał na skrzypcach. Kazał orkiestrze grać w kółko do upadłego melodię: Góralu czy ci nie żal? Kazał ludziom śpiewać, tańczyć, naigrawał się z nich i katował. Bestia oszalała.

I nie wiem, który z nich był bardziej piekielny i okrutniejszy, czy Faix, czy też gruby, krępy, czarny morderca Schwarz (pochodzący z głębokiego Reichu). Kontrolował on askarów, czy ci są dość bestialscy w stosunku do nas i czy dość mocno katują. Dozorował nas przy kopaniu grobów, t. zn. nie dał chwili wytchnienia. Rykiem, pejczeniem, bezlitosnym wyganianiem od grobów pędził do komór, gdzie stosy trupów czekały na dalszą drogę do głębokich mogił. Tam nas spędzał i znowu biegł do grobów. Na samym brzegu grobów czekały i oblakającym wzrokiem tępo patrzyły w głąb — dzieci, starcy, chorzy. Czekali na śmierć. Pozwalano im napatrzyć się do woli zwłokom, krwi i wdychać w siebie wyziewy zgnilizny, by za chwilę sprzątnąć ich strzałami krwawego Irrmana. Schwarz bił ciągle wszystkich. Nie wolno było zakrywać twarzy przed rękami. — „Hände ab!“ — wrzeszczał i pastwił się z rozkoszą.

Jeszcze bardziej rozkoszował się swoją bestialską misją młody volksdeutsch Schmidt Heni, prawdopodobnie Łotysz. Dziwnie mówił po niemiecku, zamiast „s“ mówił „t“ (nie „was“ a „wat“). Z askarami mówił po rosyjsku. Nie chciał ani na jeden dzień opuścić obozu. Zwinny, szybki, chudy, z gębą rzeźmieszką, wiecznie pijany, latał od czwartej rano do wieczora po całym obozie, katował, rozmyślnie patrzył na męczarnie ofiar i cieszył się tym widokiem. — „To najgorszy zbir“ — szeptał więźniowie i zaraz odpowiadali sobie: — „wszyscy są najgorsi“. Tam, gdzie najbardziej męczono ludzi — tam on pojawiał się pierwszy. Był zawsze przy wganianiu nieszczęśliwych ofiar do komór, przysłuchiwał się przenikliwym, przeszywającym powiewem, wydobywającym się z koszmarnych komór krzykom kobiet. — On był „duszą“ obozu, najbardziej zwyrodniały, potworny, krwiożerczy. Z przyjemnością wpatrywał się w zmęczone do ostatecznych granic, zagasłe twarze wracających wieczorem do baraku. Każdego musiał zdzie-

lić z całej siły szpicrutą po głowie. Kiedy komuś z nas udało się wymknąć, gonił za nim i musiał go skatować. Ci gestapowcy i inni, mniej wybijający się — byli jakimiś potworami. Ani jeden z nich na jedną chwilę nie był ludzkim.

Od siódmej rano do zmroku, katowali na różne sposoby tysiące ludzi. O zmroku wracali do domów koło stacji. Askarzy pełnili służbę nocną przy karabinach maszynowych. W dzień transporty śmierci przyjmowali z paradą gestapowcy.

Największym świętem zbirów była wizyta Himmlera. Było to w połowie października. Od samego rana widzieliśmy, jak krzątają się tajemniczo gestapowscy zbrodniarze. W tym dniu cała procedura wymordowania tysięcy ludzi trwała krócej. Wszystko odbywało się bardzo szybko. Irrman zapowiadał: „Es kommt eine höhere Person, muss Ordnung sein”. Nie mówili kto, ale wszyscy wiedzieli, bo askarzy szeptali o tym między sobą.

Okolo trzeciej po południu przyjechał Himmler z Generalmajorem Katzmanem, głównym mordercą Lwowa i dystryktu, z adjutantem i dziesięcioma gestapowcami. Irrman i inni zaprowadzili gości do komór, skąd właśnie wypadały trupy i skąd wyrzucano je na miejsce, gdzie rósł okropny kopiec ciał młodych i całkiem malutkich, dziecinnych. Więźniowie wlekli trupy. Himmler patrzył, patrzył pół godziny i odjechał. Widziałem radość i podniosły nastrój gestapowców, widziałem jak bardzo byli zadowoleni, jak się śmiali. Słyszałem jak mówili o awansach.



Nie umiem określić w jakim nastroju żyliśmy, my, więźniowie skazańcy, i cośmy odczuwali słysząc te straszliwe skargi duszonych co dzień ludzi i wołania dzieci. Trzy razy dnia widzieliśmy tysiące ludzi, bliskich ulaty zmysłów. I my byliśmy bliscy oblędu. Posuwaliśmy dzień za dniem, sami nie wiedząc jak. Nie mieliśmy ani chwili złudzenia. Umieraliśmy co dzień po trochu, wraz z całymi transportami ludzi, którzy przez krótką chwilę przeżywali jeszcze mękę złudzenia. Apatyczni i zrezygnowani, nie czuliśmy nawet głodu ani zimna. Każdy czekał na swoją kolej, wiedział że musi zginąć i musi niehumanitarnie się męczyć. Tylko kiedy słyszałem jak dzieci wołały: — Mamusiul ja przecież byłem grzeczny! Ciemno! Ciemno! — szarpało się w nas serce na strzępy. A później znowu przestawaliśmy czuć.

Z końcem listopada — dobiegały już cztery miesiące nieprawdopodobnego mego pobytu w kaźni Bełżca. Zbir Irrman zapowiedział mi pewnego poranku, że w obozie potrzeba blachy, dużo blachy. Byłem wtedy spuchnięty i posiniaczony, ropa sączyła się z ran. Gestapowiec Schmidt skatował mnie pałką z jednej i drugiej strony twarzy. Ze zjadliwym uśmiechem zapowiedział mi Irrman, że pojedę pod eskortą do Lwowa po blachę: — „Sollst nicht durchgehen”.

Pojechałem, załadowany do auta z czterema gestapowcami i strażnikiem. We Lwowie, po całym dniu ładowania bla-

chy, pozostałem w aucie pod strażą jednego zbirą, reszta poszła się zabawić. Siedziałem parę godzin bezmyślnie i bez ruchu. Przypadkiem zauważyłem, że moja straż zasnęła i że chrapie. Odruchowo, bez chwili zastanowienia zsunąłem się z auta; zhir spał. Stałem na chodniku, udawałem jeszcze chwilę, że grzebię coś koło blachy, powoli wysunąłem się, na ulicy Legionów był duży ruch. Nasunąłem czapkę głębiej, na ulicach było zaciemnienie, nikt mnie nie widział. Pamiętałem gdzie mieszkała Polka, moja gospodyni, poszedłem do niej. Ukryła mnie. Dwadzieścia miesięcy leczyłem rany na całym ciele. Nie tylko rany. Prześladowały mnie obrazy przeżytej grozy. Na jawie i we śnie słyszałem jęki męczonych ofiar. I wołania dzieci. I warkot motoru. Nie mogłem wydrzeć z wyobraźni zbrodniczej gęby każdego gestapowca. Dotrwałem do chwili wyzwolenia.

Kiedy Armia Czerwona wygnała niemieckich zbirów ze Lwowa, a ja mogłem wyjść na świat Boży, rozejrzeć się bez lęku, odetchnąć czystym powietrzem i po raz pierwszy od chwili niewoli niemieckiej o czymś pomyśleć i odczuć — zapragnąłem zobaczyć to miejsce, gdzie zaduszono dwa i pół miliona ludzi, którzy pragnęli żyć, żyć.

Wkrótce pojechałem. Rozmawiałem z mieszkańcami okolicy. Opowiadali mi, że w 1943 roku było już tam coraz mniej transportów, centrala uśmiercania Żydów przeniosła się do oświęcimskiej komory gazowej. W 1944 roku rozkopano doły, benzyną polewano trupy i palono je. Ciemne, gęste dymy unosily się kilkadziesiąt kilometrów w okół olbrzymich palenisk. Smród i zaduch bardzo długo rozchodził się wraz z wiatrem po dalekiej przestrzeni. Przez długie dnie i noce, przez długie tygodnie.

A potem — opowiadają okoliczni mieszkańcy — mielono kości i wiatr rozdmuchiwał pył po polach i lasach. Maszynę do mielenia kości ludzkich montował więzień obozu Janowskiego Spilke, którego w tym celu sprowadzono do Bełżca. Opowiadał mi on, że zastał tam już tylko stosy kości, wszyst-

kie zabudowania znikły. Udało mu się później zbiec i uratować się. Obecnie przebywa na Węgrzech. Relację o tym zdał mi już po wyzwoleniu Lwowa przez Armie Czerwoną.

Kiedy produkcję „sztucznego nawozu” z milionów ludzkich kości ukończono, zasypano rozdarte groby, porządnie i starannie wyrównano powierzchnię przekrwawionej ziemi. Zbrodniczy potwór niemiecki milionowy grób żydowski w kaźni w Bełżcu pokrył soczystą zielenią.

Pożegnałem się z moimi informatorami i poszedłem znaną mi drogą „bocznego toru”. Nie było go już. Pole poprowadziło mnie pod żywy, sosnowy, pachnący las. Było tam teraz bardzo cicho. W pośrodku lasu była wielka, jasna polana.

